menażeria

KWIECIEŃ 2013 2|2

W NUMERZE M.IN.:

ALEKSANDRA WALISZEWSKA

KARPATY MAGICZNE

O PENDERECKIM

PAŁA

fot. Sławomir Jędrzejewski

Plecień kwietniowy

Czołem wysokim kłaniam się w drugim numerze naszej „Menażerii”! Pierwsze płoty za koty: dzielnie zbudowaliśmy miesięcznik i dziękujemy setce naszych sympatyków za zaufanie na fanpage’u jeszcze przed narodzinami oraz prawie czterem tysiącom Czytelników pierwszego numeru! Za nami niesamowity miesiąc: część redakcji przed mrozami skryła się nie tylko przy rozgrzanych klawiaturach, ale także na alternatywnej „Klamrze” oraz elektroakustycznym Festivalu CoCArt. Teraz koty, dotąd marcujące, wreszcie wychodzą na świat, a ich szczęśliwi właściciele między kolejnymi tekstami malują płoty – czyli spóźniona wiosna zaczyna uzyskiwać dostęp do naszych umysłów. Przede wszystkim muzycznie! W tym numerze Konrad Burzyński pyta, do jakich drzwi zapukał Krzysztof Penderecki, redaktorzy Włoch i Rozpłoch wspominają Jazz Od Nowa Festival, a Krzysiek Joczyn rozmawia z Markiem Styczyńskim (nasza okładka) z Karpat Magicznych. Nie zabraknie także lektury dla fanów świetnych książek, miłośników teatru, sztuki współczesnej, designu oraz czarnych markerów. U nas jednak bez mrocznych myśli i pleciemy bardzo kolorowo: nie znajdziecie tu niczego ani z patosem, ani o polsko-polskiej trzyletniej wojence wokół rzekomego zamachu. Miłej lektury, czekamy na Wasze opinie na fanpage’u, jak również na blogu „Menażerii”.

Aram Stern

Na okładce Marek Styczyński z Karpat Magicznych, fot. Jarosława Szwagierczak

dzieje się
Magdalena Kus
Etniczny Zawrót Głowy 4

dzieje się
Marek Rozpłoch
Amen 6

relacja
Wojciech Włoch, Marek Rozpłoch
Jak kubek gorącego mleka z miodem 8

relacja
Magdalena Kus
Cuda niewidy o północy w Toruniu 10

konterfekt
Konrad Burzyński
Krzysztof Penderecki. Człowiek o wielu twarzach 14

wywiad
z Markeim Styczyńskim rozmawia Krzysiek Joczyn
Jesteśmy strasznie koncertowymi zwierzętami 18

fenomen
Karolina Wiśniewska
B.I.B., czyli Czarne Jest Piękne 24

pod okładką
Jacek S. Podgórski
Zgrzyty i pęknięcia 28

pod okładką
z Dariuszem „Pałą" Palinowskim
rozmawia Jacek S. Podgórski
Zawodnik wagi ciężkiej 30

pod okładką
Ojciec Rene prezentuje 34

pod okładką
Adam Blicharski
O nieśmiałym zdobywaniu wysp 36

pod okładką
Adam Krupa
Rekwiem dla wampira 39

pod okładką
Dawid Śmigielski
Coraz mniej mocy w kioskach 42

pod okładką
Szymon Gumienik
Idziemy przez las [bez] słów 44

pod okładką
Szymon Gumienik
Zaginanie komiksowej rzeczywistości 46

twory
Kropki Kreski - Paweł Zawiślak 48

teksty literackie
Lech Krzysztof Landecki 62

teksty literackie
Rafał Skonieczny 66

felieton. życie i cała reszta
Karolina Natalia Bednarek 68

felieton. w użyciu
Iwona Stachowska 70

felieton. bełkot miasta
Józef Mamut 72

alfabet mody polskiej
Magda Wichrowska
B - BOHOBOCO 73

obiekt pożądania
Karolina Wiśniewska
KONKRETNIE, CZYLI BETON 74

recenzje
Anna Ladorucka, Wiktor Łobażewicz, Marek Rozpłoch,
Paweł Schreiber, Aram Stern 76

fiat zofii
Maciek Tacher 81

twory
Aleksandra Waliszewska 82

tu bywaj
AL, AS, JP, LENA, MD, MR, PS, SY 96

autorzy numeru 110

odsłony
Andrzej P. Lesiakowski 113

ETNICZNY ZAWRÓT GŁOWY
13.04

ETNICZNY ZAWRÓT GŁOWY

No i jest! Po raz ósmy w toruńskim klubie Od Nowa odbędzie się festiwal Etniczny Zawrót Głowy. Tym razem artyści i twórcy ludowi odsłonią przed uczestnikami niektóre aspekty kultury Japonii, Indii, Indonezji, Turcji, Peru, Izraela i Ukrainy.

Będzie się działo: obok krzyku chłopów przeciw feudalnemu systemowi wyzysku (Ruch Utopii Transcendencji Anarchii), usłuszymy folkowe aranżacje utworów ludowych (Lemko Tower). Jeśli dysonans stylistyczny tych dwóch grup będzie dla kogoś za duży, może wybrać polską twórczość tradycyjną albo muzykę indonezjską z Jawy Środkowej. Chłopcy kontra Basia to zespół, który śpiewa i gra autorskie teksty napisane w oparciu o archiwalne zapiski etnografów, tak aby jak najpełniej realizowały cechy baśni, gawędy czy przyśpiewki. Warsaw Gamelan Group jest jedynym zespołem prezentującym utwory wykonywane od wielu lat na dworach, w teatrach i podczas różnego rodzaju uroczystości na Jawie.

Śpiew uzupełnia taniec, zatem festiwal nie mogłby istnieć bez ruchu ciała i powietrza. Tym razem widzowie zobaczą aranżacje historii indyjskich (grupa taneczna Paheli), będą mogli także wziąć udział w warsztatch tańców bałkańskich (bułgarskich, macedońskich, rumuńskich i greckich), tureckich i izraelskich.

Do innych propozycji warsztatowych należą zajęcia o japońskim haiku, które poprowadzi Dariusz Brzóska Brzóskiewicz, jak również „drugie życie" gazety codziennej, czyli „jak pleść z papieru?" (Bożena Petkiewicz). Ponadto „miłośniczki-botaniczki wszystkiego, co naturalne", czyli Grupa 3flos, nauczy przygotowywać naturalne kosmetyki i kącik SPA na potrzeby domu.

Festiwal powstał z inicjatywy ludzi, którzy chcą wzmocnić promocję kultury i w sposób innowacyjny zachęcić do odbioru muzyki korzeni. W swoim założeniu ma rozwijać tolerancję i dialog międzykulturowy, a także wspierać zrozumienie oraz akceptację etnicznego zróżnicowania naszego kraju i świata. Festiwalowi będą towarzyszyły warsztaty, koncerty i jarmark rękodzieła.

Magdalena Kus

Etniczny Zawrót Głowy
13 kwietnia, godz. 18:00
Od Nowa

menażeria
patronat medialny

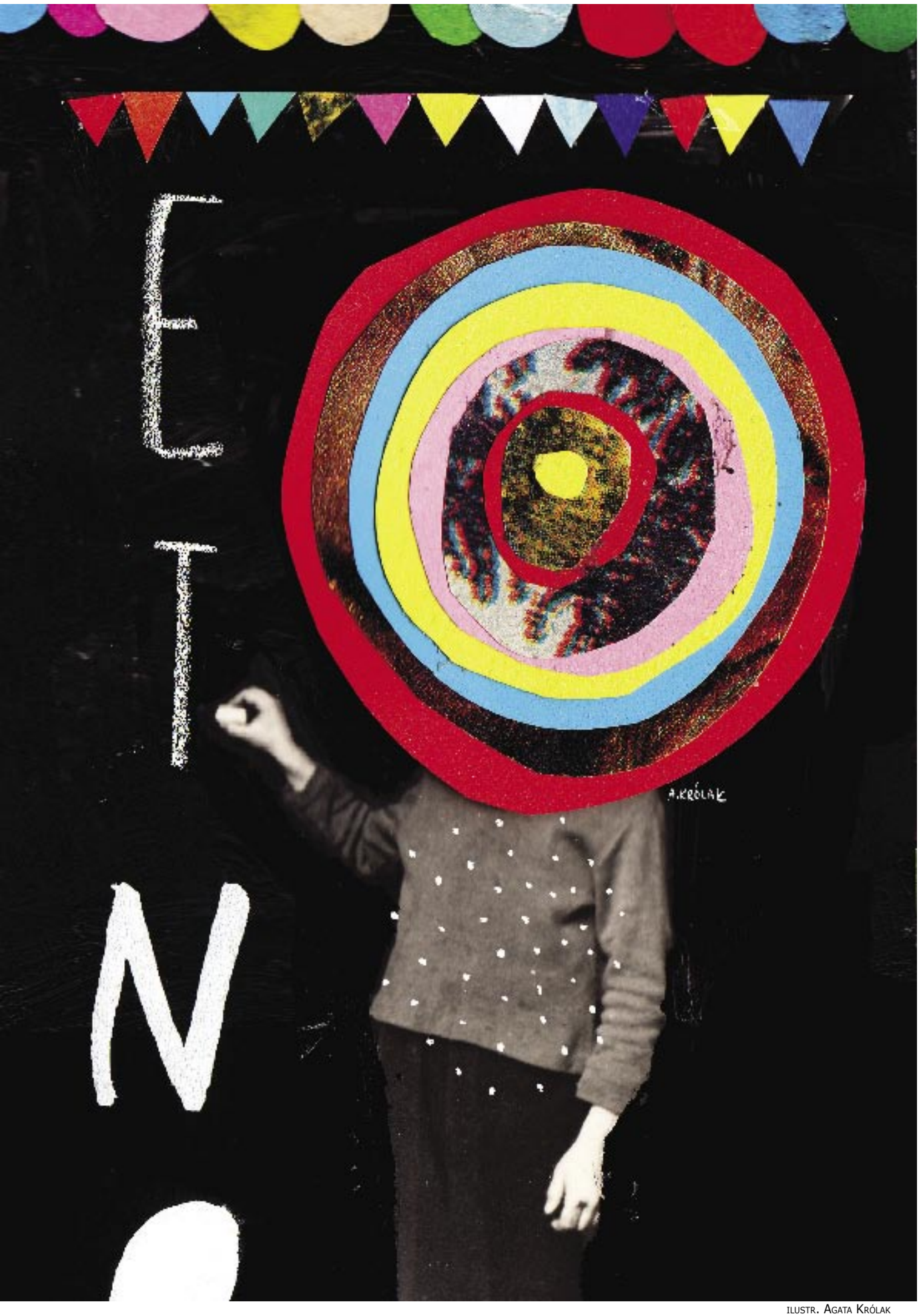

ILUSTR. AGATA KRÓLAK

REPUBLIKA MARZEŃ
ZAPRASZA NA
OGÓLNOPOLSKI ZLOT FANÓW ZESPOŁU
DBF 2013
REPUBLIKA
20-LECIE WYDANIA LP "Siódma Pieczęć"
M.IN. PREZENTACJA NAGRAŃ AUDIO I VIDEO
SPOTKANIE Z GOŚĆMI SPECJALNYMI, KONKURSY
KONCERT ZESPOŁU:
27.04.2013
GODZ: 19:00, BILETY: 25 ZŁ
OD NOWA, TORUŃ
PRZEDSPRZEDAŻ BILETÓW: OD NOWA. WWW.BILETY.REPUBLIKAMARZEN.PL

DZIEŃ BIAŁEJ FLAGI
27.04

AMEN

„tu jestem w niebie
tu jestem w niebie
tu jestem w niebie
tu jestem w niebie”

Republika, *Tu jestem w niebie*

Po co są koncerty, po co idziemy na koncert? By odetchnąć od zgiełku, by przypomnieć sobie czasy większego nieco szaleństwa, by dać się zaskoczyć i zaczarować ciekawej muzyce, by pokazać się w gronie znanych i lubianych na koncerty chodzących? Zapewne. Dochodzi jeszcze powód najoczywistszy – chęć ujrzenia swego bożyszcza, żeby choć raz usłyszeć na żywo tego, którego po nocach się słucha i czci, a potem długo, długo nosi w głowie…

I tu dziwna rzecz – okazuje się bowiem, że mimo nieistnienia zespołu już od jedenastu lat, wśród gości Dnia Białej Flagi dominuje ta ostatnia motywacja.

W tym roku gwiazdą Dnia będzie zespół Już Nie Żyjesz, a cały Dzień Białej Flagi będzie przypominał o pojawieniu się dokładnie dwadzieścia lat temu „Siódmej pieczęci”.

Jak zapewniają organizatorzy, „w programie imprezy znajdują się między innymi prezentacje unikatowych nagrań audio i video, rozmowy z gośćmi specjalnymi”.

Marek Rozpłoch

Dzień Białej Flagi 2013
27 kwietnia, godz. 19:00
Od Nowa

menażeria
patronat medialny

Jak kubek gorącego mleka z miodem

Tekst: Wojciech Włoch, Marek Rozpłoch
Ilustracje: Andrzej Kilanowski

Tegoroczny festiwal jazzowy w Od Nowie był o tyle wyjątkowy, że po raz pierwszy mógł wybrzmieć w jej nowo wybudowanej części; o tyle był zwyczajny, że coś muzycznie bardzo przewidywalnego domino--wało i nawet opisy na stronie klubu świadczą bardziej o na--bożnym traktowaniu ciągłości i tradycji niestarego przecież festiwalu, niż o chęci usatysfakcjonowania głodnego dobrej muzyki fana jazzu. Należę (autorzy tekstu są dwaj, ale każdy z nich mógłby spokojnie podpisać się obiema rękoma pod całością wyrażanych opinii, więc nie komplikujmy sobie życia liczbą mnogą) do tych odbiorców jazzu, którzy traktują go jak powietrze - nawet gdy lichej jakości, oddychać trzeba, bo organizm się tego domaga.

Organizm został nasycony, bo aż cztery dni – tak jest od czasów dziesiątego festiwalu – ale wyższe potrzeby estetyczne nieco rzadziej bywały w pełni zaspokojone. Z drugiej strony, trzeba jasno i wyraźnie podkreślić, że nie było żadnego rzucającego się w oczy słabego punktu.

Muzyka dość często skręcała w stronę przeciwną ortodoksji. Słychać było rytmy latynoamerykańskie, ethno jazz, muzykę świata, ale to chyba nie zarzut – sam jazz przecież ulepiony został z pozornie niepasujących do siebie elementów i wciąż żyje nam między innymi właśnie dzięki próbom muzycznego dialogu z obszarami oddalonymi od Nowego Orleanu nawet o tysiące mil. O tyle jest to ciekawe dla miłośnika jazzu, o ile nie ociera się o banał, nie razi ostrożnością, nie czuje się atmosfery czysto kawiarnianej. Niestety, czuło się parę razy coś takiego na tegorocznym jazzie w Od Nowie. Choć i tego z przyjemnością można było posłuchać, a niemal za każdym razem w nagrodę za cierpliwość dostawało się jakiś poruszający moment zaskoczenia, czy to w postaci całego utworu, czy jego fragmentu, czy rewelacyjnego sola.

Dobry występ yassowego kwartetu A-Kineton na samym początku festiwalu. Dobry, choć nie przekonujący mnie w pełni koncert Kwintetu Zbigniewa Namysłowskiego - z rewe--lacyjnym czarodziejem fortepianu Sławkiem Jaskułke.

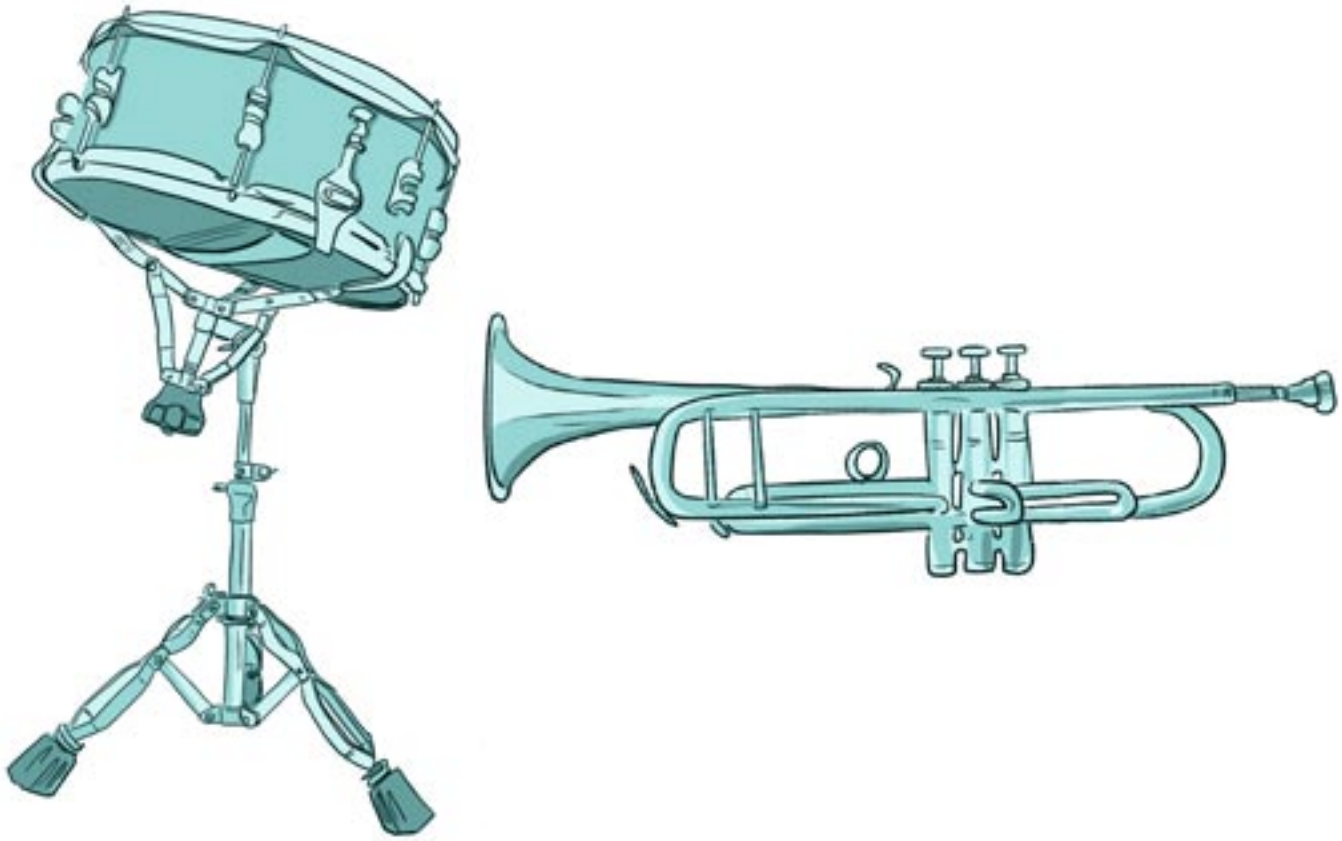

Szkoda, że tak go mało i głównie w tle – wszak to zdecydowanie najlepszy pianista festiwalu! Po ethnojazzowym, rozgrzewającym i pobudzającym wyobraźnię PGR – Latin Fire! można było wrócić na łono tradycji i nasycić się muzyką Eryk Kulm Internatinoal Quartet z piątym na dokładkę Piotrem Wojtasikiem. Słychać było, że każdy z muzyków zespołu jest indywidualnością wysokiej rangi, a wspólne granie w takiej konstelacji również daje wyśmienity efekt. Pierwsze moje spełnienie, jako słuchacza festiwalu. Brawa!

Drugie spełnienie i brawa dla grupy Fumanek, czyli Mamadou Dioufa, Włodzimierza Kiniorskiego i Tadeusza Sudnika. Znowu muzyka uciekająca od ortodoksji, za to z jaką klasą! Genialne elektroniczne popisy Sudnika!

Zespołowi towarzyszyła na scenie płaskorzeźba autorstwa Jacka Wudarczyka. Stanowiła ona niejako zapowiedź tego, co za moment przetoczyło się przez scenę i ekran. Widowisko audiowizualne Marka Stryszowskiego Ananke miało w sobie coś ujmującego nieraz i przekonującego, ale momentami tak mocno parło w stronę ewidentnego kiczu, że przed katastrofą ratowało je tylko to, co najistotniejsze, czyli ciekawa warstwa muzyczna.

Ballister był najjaśniejszym punktem festiwalu. Muzyka mocno improwizowana, noise'owa, nieprzekombinowana i nieprostacka. Perkusista Paal Nilssen-Love tworzył solidną podstawę, saksofonista Dave Rempis grał w dobrym free--jazzowym stylu, wiolonczelista Fred Lonberg-Holm dodawał chropowatości, używał przesterów, zapętleń. Było głośno. Publiczność generalnie zdzierżyła Ballistera, część wyszła, część się przemęczyła (słyszałem komentarze, że general--nie było warto, że trochę to dziwne, ale ciekawe, „jak Penderecki", „Warszawska Jesień na Jazzowo"), a części zwyczajnie się podobało - żywe reakcje, brawa za ciekawe solo, był bis.

Urbaniak grał ładnie. Fajnie brzmiały organy Hammonda (przy zastrzeżeniu, że brzmienie ogólnie było takie sobie). Urbaniak podobał się publiczności - dużo ludzi, dużo braw, nawet klaskanie w rytm muzyki. Wieczór sobotni był kontrastowy muzycznie i społecznie. Społecznie - bywalcy imprez, na których „się bywa" i fani. Muzycznie - free i fusion. Dla mnie zbyt kontrastowo; jak się wczułem w Ballistera, to dla Urbaniaka serca już nie miałem (pewnie i w odwrotną stronę to działa).

Duża sala (ostatni wieczór festiwalu wybrzmiał zamiejscowo w Auli UMK) nie sprzyja zazwyczaj takim zespołom jak Ballister, a wychodzi na dobre rozrywkowemu Urbaniakowi, lecz tym razem było chyba inaczej. Ballister brzmiał bardziej przejrzyście, dynamiczniej i głośniej, Urbaniak tak sobie, bez werwy, czasami wszystko się zlewało. I Ballister, i Urbaniak bardzo profesjonalni, tyle że Ballister to była całość, synteza, a w zespole Urbaniaka muzycy grali „razem", lecz nie tworzyli „jedności", czasami jakby trochę każdy z osobna. Miało niby być groove'owo, ale ja tego nie czułem…

Powinno być to tak parami zestawione: 3. dzień festiwalu - Fumanek i Ballister, 4. dzień - Namysłowski i Urbaniak.

Jazz Od Nowa Festival
20-23 lutego 2013
Akademickie Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa"

Iris van Herpen,
Kolekcja: Napięcie – pokaz Haute Couture w dniu 21 stycznia 2013,
Modelka z transformatorem Tesli wytwarzającym 500.000 woltów
Fot. Michel Zoeter
© Michel Zoeter
Dzięki uprzejmości artystki

Cuda niewidy o północy w Toruniu

Tekst: Magdalena Kus

Yuima Nakazato
Kolekcja: "Niebiosa", 2013 S/S
Dzięki uprzejmości: Yuima Nakazato Couture

Niebawem do Torunia przyjedzie Woody Allen. Mimo, że reżyser nieustannie przekracza sa-mego siebie i własną konwencję filmową, nadal szuka inspiracji w sztukach pięknych i nieustępującemu im urokowi kobiecego ciała. Dlatego też, zaraz po Barcelonie i Paryżu, zdecydował się na Toruń. Film będzie nosił tytuł O północy w Toruniu i jest kontynuacją O północy w Paryżu – jeszcze nadal uznawanego za światową stolicę sztuki i mody.

Za plenery odpowiada Marcin Gładych – reżyser mający doświadczenie w przenoszeniu scenografii w czasie (Panoptikon). Kostiumy aktorów możemy zobaczyć już teraz na wystawie, która potrwa do 26 maja 2013 r. Wystawa Cuda Niewidy prezentowana przez tutejsze Centrum Sztuki Współczesnej jest wprowadzeniem mieszkańców miasta w projekt przed pojawieniem się ekipy filmowej. Cuda poka-zywane na wystawie przeobrażają się w Niewidy o północy każdego dnia i rozpoczynają wędrówkę po mieście.

Co wieczór na poszukiwanie aktorek-modelek pierwsi wyruszają Kim Hagelind i Daniel Widrig. Hagelind jest autorem obiektów Oscylony, utrzymanych w rzeźbiarskiej stylistyce i czytelnych elementach trójwymiarowej głębi (nosi się je od pasa w górę, bez rękawów). Razem z Widrigiem, autorem biżuterii drukowanej w 3D z poliamidu, poszukują osób przede wszystkim silnych, którym byłoby ładnie w czerni. Płeć nieistotna.

Za montaż obrazu i dźwięku będzie odpowiadała Ruth Hogben – twórczyni filmowa, która pracuje z projektantami i fotografami mody. Jako swoją wizytówkę na wystawie pokazuje wybór prac Garetha Pugha. Tworzy on geometryczne czarno-białe stroje, często określane jako rzeźby do noszenia. Autor opisuje swoje projekty jako dotyczące „wal ki pomiędzy światłem a ciemnością". Drżyj zatem przyszły widzu filmu Allena przed tym duetem.

Za efekty specjalne odpowiada Iris Van Herpen. W swojej kolekcji autorka próbuje przedstawić rzeczywisty ruch i moc ciała. Uwaga! Jej prace elektryzują! Iris jest projektantką, która inspirując się badaniami naukowymi, bada możliwości mody w przyszłości, zatem producentom O północy w Toruniu trudno sprecyzować czas realizacji całego projektu.

Także Yuima Nakazato tropi możliwości mody bez pozostawania uwiązanym w ramach tradycyjnych reguł. Interesują go elementy dekoracyjne, sposób, w jaki ubrania układają się na ciele, a także elementy strukturalne. Kostium, który Nakazato prezentuje na wystawie na pewno będzie nosił(a) główny bohater filmu Allena. Yuima bez odpowiedzi pozostawia pytanie o to, czy Fergie albo Lady Gaga, które bardzo lubią nosić ubrania jego pomysłu, starają się o rolę w filmie Allena.

Osobny wpis należy się Tomoko Hayashi. Podobnie uznała kuratorka Cudów Niewidów, Dobrila Denegri, umieszczając jej prace w wyodrębnionej przestrzeni sali wystawowej. Ta multidyscyplinarna artystka i projektantka szkoliła się w tradycyjnej japońskiej sztuce farbowania i projektowania w Kioto. To wnosi silne poczucie estetyki i wartości filozoficznych do jej twórczości. Rozważa zagadnienia komunikacji i intymności w naszym zabieganym społeczeństwie. W kolekcji Zwierciadło łzy-klejnot bada ludzkie emocje związane ze łzami. Myśl towarzysząca jej twórczości, opowieści przez nią snute i piękno efektów pracy możliwe, że będą ściśle wpisane w główny wątek filmu Allena.

Wygląda na to, ze film będzie refleksyjny w wymiarze „cyborgicznym", po który wcześniej Allen nie sięgał. Wystar

Ana Rajcevic
Kolekcja "Zwierzę: Druga strona ewolucji", 2012
Włókno szklane, żywica poliestrowa
Fot. Fernando Lessa
modelka: Anna Tatton
fryzura i makijaż: Sarah Frasca
Dzięki uprzejmości artystki

Kim Hagelind
Oscylony", Kolekcja zainspirowana przez elektroniczne abstrakcje i oscylony Bena F. Laposky'ego, 2011
Ubrania uszyte z plastiku
Fot. Alexander Dahl
Dzięki uprzejmości artysty

czy obejrzeć przekraczające tradycyjną konwencję suknie, płaszcze i biżuterię autorstwa Minny Palmqvist, Emilii Tikka oraz Miny Lundgren. Szczególnie Tikka analizuje ludzkie ciało jako podmiot i środek wypowiedzi, zastanawia się nad jego technicznym aspektem, maszynami i komputerami jako inspiracją dla mody. Lundgren natomiast na pewno uprości ową skomplikowaną wypowiedź artystyczną, ponieważ wprawiła się w poszukiwaniu czynnika jednoczącego różne estetyki i ekspresje, gdzie proste i skomplikowane konstrukcje tworzą jedność.

Marloes ten Bhomer przygotowała kolekcję butów prowokacyjnych i nieziemskich, alternatywnych dla istniejących języków i typologii projektowych. Każda z nas, was i z nich będzie chciała włożyć na stopy buty Bhomer, żeby dumnie kroczyć przez Bulwar Filadelfijski i – cóż, że nie na Bulwarze Zachodzącego Słońca – ale podglądać hollywoodzką ekipę.

Za ubranie drugiej krańcowej części ciała kobiecego odpowiada Anna Rajevicm, która pracuje na pograniczu rzeźby i projektowania. Przekształca sylwetki, szczególnie głowy, zakładając na nie złożone elementy zdobnicze. Te luksusowe modowe artefakty tworzą niezależne dzieła sztuki i zacierają granice pomiędzy modą a sztukami pięknymi.

Drugim reżyserem filmu Woddy'ego Allena prawdopodobnie będzie Hussein Chalayan. Na wystawie Cuda niewidy możemy zobaczyć jego film pt. Nieobecna obecność. Chalayan jest jednym z najwybitniejszych i najbardziej od--krywczych projektantów mody, który w swoich pracach na wystawie w CSW pokazuje problem hybrydyzacji poprzez łączenie dyskursów związanych z różnymi dziedzinami życia oraz wypracowania na tej drodze metod produkcji, które stają się przyczynkiem do wyłonienia nowatorskich koncepcji artystycznych i projektowych. W swoim filmie Nieobecna obecność, do którego zaangażował Tildę Swinton, podejmuje kwestię tożsamości wpisanej w DNA i stawia pytanie, czy i do jakiego stopnia jednostki mogą adaptować się do nowego środowiska.

Także Bogomir Doringer snuje głębszą refleksję. Zastanawia się w swoich pracach nad sposobem nieustannego kreowania tożsamości i osobowości, a także zmianą postrzegania swojej osoby.

Cuda niewidy
kuratorka Dobrila Denegri.
Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu
15 marca – 26 maja 2013

Anna-Nicole Ziesche
"Przechowalnia dzieciństwa", 2009
Film, 6.17 min
Fot.: Tomas Rydin, współpraca: Anna-Nicole Ziesche
Dzięki uprzejmości artystki i Museum Boijmans Van Beuningen, Rotterdam

poniżej:
Minna Palmqvist
Kolekcja: "Intymnie społeczna 7.11", 2011
Fot.: Anna Rönnqvist
Dzięki uprzejmości artystki

powyżej:
Tomoko Hayashi
"Zwierciadło łzy – klejnot", 2011
Kolekcja biżuterii z ludzkich łez, substancji spożywczej, cukru
Dzięki uprzejmości artystki

HEBE

KRZYSZTOF PENDERECKI

Człowiek o wielu twarzach

Tekst: Konrad Burzyński
Ilustracje: Gosia Herba

Krzysztof Penderecki to dziś twórca narodowy, dostawał zamówienia od ONZ, „Solidarności", najlepszych sal koncertowych i operowych świata, jego pozycja wydaje się nienaruszona. Chciałbym przyjrzeć się, jakimi ścieżkami do niej dochodził, kiedyś przecież cieszył się sławą tego, który walczy z filharmoniczną publicznością. Chcę też pokazać punkty przełomowe w jego twórczości, te, które zaważyły na przejściu z pozycji skrajnie awangardowych na konserwatywne. Przemiana, której uległa twórczość Pendereckiego, jest bardzo symptomatyczna dla jego pokolenia, działającego nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach środkowo i wschodnioeuropejskich. Warto wspomnieć, że okres, na który przypada zmiana stylistyczna Pendereckiego, czyli połowa lat 70-tych, to generalnie czas odchodzenia od awangardy całych rzesz europejskich artystów.

Gdy w 1959 roku Penderecki otrzymał trzy pierwsze nagrody na konkursie kompozytorskim Związku Kompozytorów Polskich, było to duże zaskoczenie, nie tylko z powodu precedensu zapowiadającego twórcę wielkiego formatu, ale również dlatego, że nagrodzone utwory różniły się znacznie od tych, które Penderecki tworzył wcześniej. Dotychczasowe partytury Pendereckiego nie zapowiadały jeszcze rewelacyjnych utworów następnej dekady, były to przede wszystkim utwory neoklasyczne i neofolklorystyczne, takie jak *Sonata skrzypcowa* czy *Miniatury* na klarnet z fortepianem. Jednak *Psalmy Dawida*, *Emanacje* i *Strofy*, które były niejako wejściem w inny wymiar, to już brzmienia przyszłości, które Penderecki, a tym samym polska muzyka, zaczął dialogować z tym, co działo się na zachodzie, czyli z awangardą. Dialog ten był o tyle wartościowy, że twórca *Trenu* nie naśladował zachodnioeuropejskiej awangardy, jak robiło to wielu jego rówieśników. Niemal od razu przedstawił swoją wersję dźwiękowego radykalizmu zasadzającego się na absolutnej negacji tradycji, ale także estetyki darmstadzkiej, którą wówczas uznawano za obowiązującą. Oczywiście, taki obrót spraw przysporzył wiele zainteresowania kompozytorowi zza żelaznej kurtyny. Otóż na początku właśnie ten fakt, że kompozytor z kraju komunistycznego MOŻE niejako tworzyć przeciw konserwatywnym słuchaczom, zafascynował zachodnioeuropejską, mocno skomunizowaną społeczność kompozytorską. Stało się niemal jasne dla twórców takich jak Luigi Nono, członka Włoskiej Partii Komunistycznej, że Penderecki przy pomocy dźwięków opisuje tak swoim rodakom jak i obcokrajowcom wzniosłość i postępowość komunizmu. Na uwagę zasługuje fakt, że Nono, który w tym czasie gościł w Polsce na zaproszenie Związku Kompozytorów Polskich, zainspirowany wizytą w kraju wyższych idei napisał *Diario Poloacco '58*, będące wynikiem fascynacji świadomością klasową polskiego proletariatu. Luigi Nono był komunistą ideowym, zdaje się, że pozostał nim do końca życia, co nie jest częste; napisał wiele utworów o bardzo opisowych, zaangażowanych tytułach takich jak *Rozświetlona fabryka* (*La fabrica illuminata*), zainspirowany *Manifestem komunistycznym* Marksa i Engelsa *Ein Gespenst geht um in der Welt* (*Po świecie krąży widmo*), czy *Como una ola de fuerza y luz* (*Jak fala siły i światła*). Właśnie takiego języka muzycznego (Szostakowicz!) oczekiwano z komunistycznego kraju, aby pokazać postęp, oświecenie itd. Jednym słowem: Penderecki stanął obok takich sław jak wspomniany Luigi Nono, Karlheinz Stockhausen, Luciano Berio czy Pierre Boulez, prowadząc z nimi równy dialog/wyścig, będąc jednocześnie ich serdecznym przyjacielem. Jakież były zachwyty po kolejnych prawykonaniach *Polimorfii*, *Fluorescencji*, *Kwartetu smyczkowego* czy w końcu *Trenu ofiarom Hiroszimy*. Po latach,

Krzysztof Droba, zachwycając się *Trenem*, pisze o nim: „pierwszy tak mocny gest sprzeciwu (w tym wypadku antydarmsztadzki), późniejsze sprzeciwy Pendereckiego (*Pasja*, *Koncert skrzypcowy*) są właśnie *Trenem* poprzedzone. Sarmacka szarża sonorystyczna – narobiła wiele szumu, jak szarża husarii pod Wiedniem". Trwało to do momentu prawykonania *Pasji wg Św. Łukasza* w Münster w 1966 roku. *Pasja* jak *Pasja*, świetna muzyka, jak wspomina często kompozytor, utwór ten był sumą jego dotychczasowych osiągnięć na polu instrumentacji i formy, ale... temat. Właśnie temat *Pasji*, czyli Męka Chrystusa już tak bardzo nie przypadła do gustu zachodowi – zachód, jak często się mawia, temat ten ma już opisany, już dawno się do niego ustosunkowano, jednym słowem: religia i wiara nie stanowiły już (i nie miały stanowić) twórczej pożywki dla mocno zateizowanej Europy. To właśnie tu rozpocząć by się mogła historia o estetycznym zwrocie Pendereckiego „na prawo", ale nie jest to takie proste. *Pasję* z perspektywy czasu można uznać jedynie za zapowiedź zmiany, która dopiero nastąpi. Wprawdzie trzeba przyznać, że tematy religijne będą się już pojawiać ze zdumiewającą regularnością, lecz pod względem języka muzycznego wszystko było jak wcześniej. Penderecki z mniejszą nieco egzaltacją, większą zaś dojrzałością eksperymentuje w kolejnych utworach.
W roku *Pasji*, czyli 1966, Penderecki pisze *De natura sonoris* (*O istocie dźwięku*), podobnie jak w *Pasji*, niejako chwali się swoimi zdobyczami na polu dźwiękowości, bo dodać należy, że Penderecki był wybitnym, może jednym z najśmielszych i najciekawszych kolorystów XX wieku, jednym z twórców sonoryzmu, na polu wykorzystywania instrumentów smyczkowych był niedościgłym mistrzem. Kilka lat później powstaje *De natura Sonoris II*, znacznie bardziej mroczny niż pierwszy, powoli zapowiada zmianę. Być może *O naturze dźwieku II* jest pożegnaniem (świadomym?) z dźwiękiem jako wartością formotwórczą, ponieważ w następnych dziełach już nie dźwięk czy wnikanie weń są najważniejsze, a próba stworzenia muzyki opartej w większym niż dotąd stopniu na melodyce. Takie utwory jak *Partita na klawesyn i orkiestrę*, *Intermezzo na smyczki* czy *Pierwsza Symfonia* są dobitnymi tego przykładami. Oczywiście, znać tu rękę mistrza orkiestry, ale gdy się wsłuchać, punkt ciężkości przesunięty został tu z barwy na, ogólnie mówiąc, wartości bliższe tradycji. Osobiście uważam, że utworami będącymi przykładem prawdziwego przełomu twórczego są *Magnificat* i *Przebudzenie Jakuba*, oba o tematyce religijnej, choć drugi czysto orkiestrowy. Sam tytuł z biblijnym odniesieniem wydaje mi się bardzo symptomatyczny dla przemiany i jej ewentualnych przyczyn u twórcy *Trenu*. Penderecki bowiem tymi dwoma utworami wszedł już na dobre w świat muzyki bardziej komunikatywnej, choć należy podkreślić, że cała dotychczasowa twórczość Pendereckiego wyróżniała się na tle muzyki drugiej połowy XX wieku i tak dużą komunikatywnością, w końcu Kubrick i Friedkin wykorzystywali jego awangardowe utwory w swoich filmach (*Lśnienie*, *Egzorcysta*), doceniając ich obrazową sugestywność. *Magnificat* i *Przebudzenie Jakuba* będące, moim zdaniem, utworami granicznymi, posiadają elementy awangardowe i tradycyjne, przypominają zbiory otwarte, zawierające obie tendencje stylistyczne, odchodzącą (awangardową) i nadchodzącą (neoromantyczną). Neoromantyzm? Właściwie „neoneoromantyzm", bo przecież neoromantyzm już był! Od tego czasu Penderecki wraz z wieloma twórcami z Europy środkowo-wschodniej, tworzył coś w rodzaju frontu sprzeciwu wobec awangardy, jednocześnie mocno wchodząc w dialog z szeroką publicznością. Front ten był różnorodny stylistycznie, zawierał w sobie takie nurty jak „Nowa prostota" (Arvo Pärt, Henyk Mikołaj Górecki, John Tavener), wspomniany neoromantyzm (Penderecki, Georg Rochberg, Gija Kanczeli), amerykański minimalizm, istniejący oczywiście już w latach 60., lecz teraz właśnie zaczynał być znacznie mniej konceptualny, bardziej konsonansowy, a nawet „rozrywkowy?" (Steve Reich, Philip Glass, Terry Riley). Penderecki zajmował w nim miejsce szczególne, przede wszystkim z powodu dotychczasowego statusu. Z perspektywy lat można uznać, że był jednym z najwybitniejszych awangardzistów, którzy weszli na drogę dialogu z muzyką przeszłości. Kiedyś Penderecki twierdził, że historia jest jak korytarz z wieloma drzwiami, które się za nami zatrzaskują, później zmienił zdanie, uznał, że wystarczy się odwrócić i otworzyć dowolne drzwi, kluczem do nich jest talent. Do jakich drzwi zapukał Penderecki? Na tych metaforycznych drzwiach mógłby widnieć jakiś niemiecki napis, ponieważ Penderecki jednoznacznie opowiedział się po stronie niemieckiej oraz austriackiej symfoniki 2 połowy XIX i początku XX wieku. Nowymi mistrzami Pendereckiego stali się Anton Bruckner, Ryszard Wagner i Gustav Mahler. Podczas jednej z prób nowego utworu Penderecki, kipiąc z radości, powiedział do kogoś stojącego obok niego: „Czyż fragment ten nie brzmi jak muzyka Brucknera?!". Estetykę niemiecką słychać bardzo mocno w utworach poprzełomowych. Zmienili się także wykonawcy: genialnego interpretatora awangardowej muzyki wiolonczelowej Siegfrieda Palma zastąpiła ikona tradycji: Mścisław Rostropowicz, pojawili się również niezrównani interpretatorzy skrzypcowej muzyki przeszłości: Isaak Stern, Salvatore Accardo, później Anne-Sophie Mutter. Muzyka Pendereckiego, ta pisana przed i po przełomie, ma oczywiście cechy wspólne, najważniejszą z nich jest jak zawsze silna, mocną kreską zaznaczo-

PENDERECKI

na emocjonalność, która jest zresztą emblematyczna dla całej polskiej muzyki. Witold Lutosławski, także Krzysztof Meyer, pytani o specyfikę polskiej muzyki twierdzili w wielu wywiadach, że wątek emocjonalny jest w niej znacznie bardziej uwypuklony niż na zachodzie. Dalsza droga twórcza Pendereckiego, z grubsza biorąc, przebiega pod znakiem kolejnych utworów o tematyce religijnej, niemieckojęzycznych oper (jakże kojarzących się z Wagnerem i Straussem!), wpływów niemieckiej poezji przełomu XIX i XX wieku oraz upraszczania formy muzycznej. Warto tu porównać dwa koncerty skrzypcowe powstałe na przestrzeni 17 lat. Pierwszy jest mroczny, chciałoby się użyć kolokwialnego określenia: „kobylasty" – nie ma w nim lekkości, orkiestra ewokująca mroczne i niezbyt czytelne myśli kontrastuje z wysoką barwą skrzypiec, jednym słowem: trudne 40 minut muzyki! Drugi koncert jest już zupełnie inny, owszem, „niemiecki", to jest jasne, czuć w nim mrok i ciężar, ale percepcyjnie zupełnie inaczej to się rozgrywa. Będąc również propozycją poważną, aż tak nie męczy – kilkanaście lat praktyki na tej płaszczyźnie dało rezultaty. Dość niepokojące, moim zdaniem, elementy pojawiły się w znacznie większym niż dotąd stopniu w utworach powstałych już w XXI wieku, pewna irytująca lekkość, kabaretowość w połączeniu ze sztampowością tworzą dziwną i niespójną całość. Najnowsze produkcje Pendereckiego denerwują młode pokolenie, nudzą starsze, już chyba tylko nazwisko ich autora każe instytucjom zamawiać kolejne produkcje. „Produkcje" to najlepsze słowo opisujące tę muzykę, kolejne utwory przypominają poprzednie, autor nie umie bądź nie chce wydobyć specyfiki instrumentów, na które pisze. Utwory te wciąż są TAKIE SAME, nie widać ścieżki, to już tylko plama. Dochodzą do tego irytujące wypowiedzi kompozytora, twierdzącego, że jest najlepszym polskim twórcą, że on jako jedyny napisał przyzwoity cykl symfoniczny, popełniającego błędy faktograficzne w swych bufońskich wypowiedziach. Penderecki przypomina mi trochę Wałęsę, ma świetną przeszłość, ale ilekroć się go słucha, ma się wrażenie, że się skończył. Słowa krytyki musiały paść, daje sobie komfort ich zamieszczenia, bo znam doskonale twórczość i wypowiedzi Pendereckiego, to, co mnie boli, to brak potrzeby artystycznego wysiłku niegdyś genialnego kompozytora. Ponadto kocham jego muzykę, a miłość, jak rozumiem, mi wszystko wybaczy!

Powracając na koniec do *Przebudzenia Jakuba*, warto wspomnieć na słowa Biblii, które opisują tę sytuację: „A gdy się ocknął Jakub ze snu, rzekł: Prawdziwie Pan jest na tym miejscu, a jam nie wiedział" (Księga Rodzaju 28, 16-17).

Możliwe, że twórcza i prywatna droga Pendereckiego, uznającego, że wiara jest arką, dzięki której można przetrwać w dzisiejszych czasach, musiała tak wyglądać. Jednak osobiście wolę jego utwory z lat 60., już chyba zawsze będą dla mnie punktem odniesienia, źródłem radości i artystycznych wzruszeń. Bardzo mnie cieszy renesans awangardowej twórczości Pendereckiego, który zauważam od kilku lat, młode i średnie pokolenie chętnie sięga po moje ulubione utwory, takie jak *Polimorfia*, *Pasja* czy *Tren ofiarom Hiroszimy*. Grzegorz Jarzyna, Aphex Twin czy ostatnio Pianohooligan przyznają, że utwory te stanowią dla nich bardzo aktualny głos. Dla mnie też!

Jesteśmy strasznie koncertowymi zwierzętami

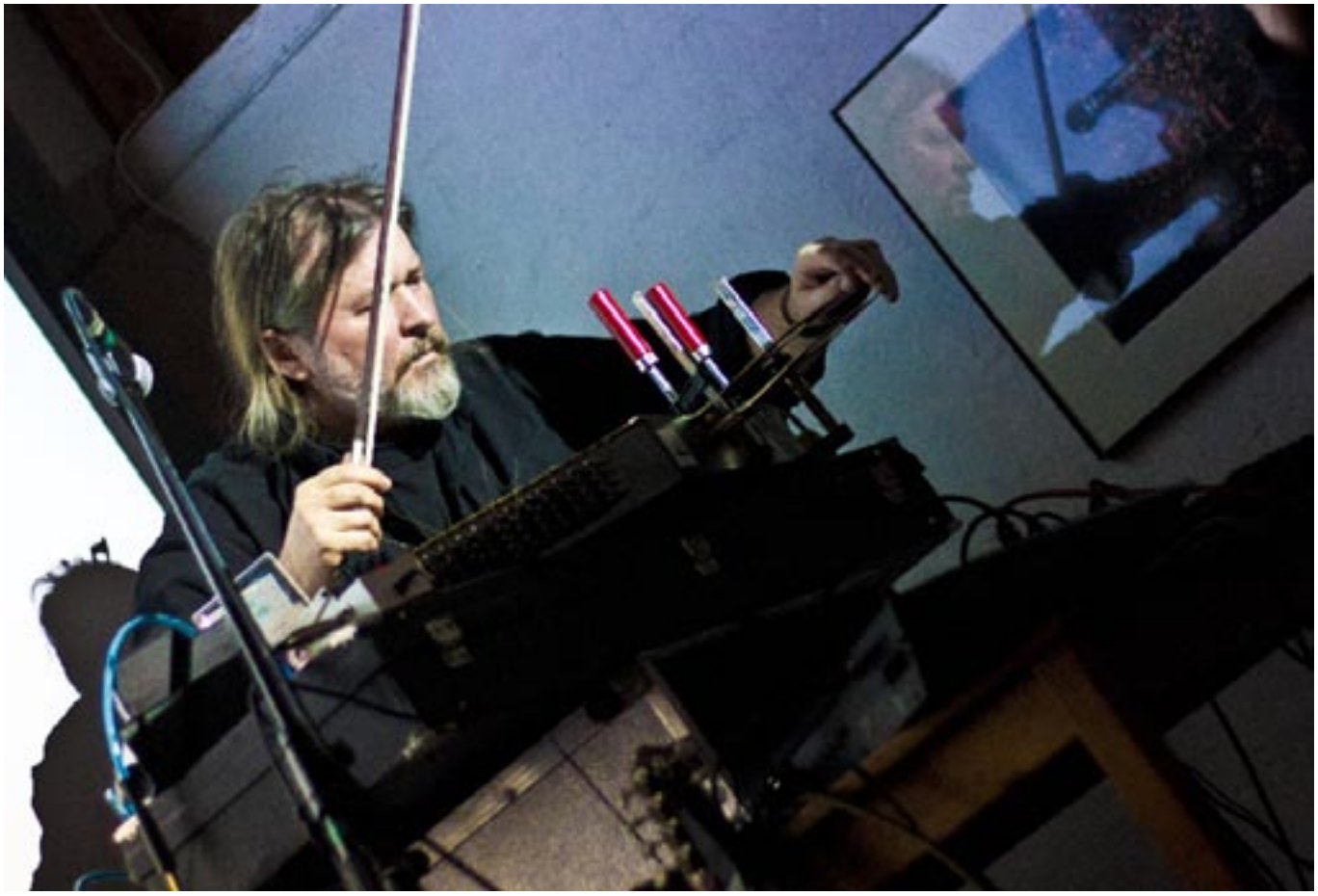

FOT. JAROSŁAWA SZWAGIERCZAK

po koncercie z okazji 15-lecia i po promocji książki - z Markiem Styczyńskim z Karpat Magicznych rozmawiał Krzysiek Joczyn

Wydaliście właśnie książkę, *Vaggi Varri: W tundrze samów*, w której opowiadacie o swoich trekkingowych wyprawach w rejony tundry. Jej promocję połączyliście ze swoimi koncertami. W jaki sposób treść książki powiązana jest z muzyką, którą gracie?

Warto podkreślić, że to już czwarta nasza książka, która jest w pewnym sensie dogłębną dokumentacją tego, co robimy w muzyce. Pierwsza, o jakiej myślę, to oczywiście *Ucho jaka*. (chodzi o: *Ucho jaka. Muzyczne podróże od Katmandu do Santa Fe*, Bezdroża, Kraków 2003, przyp.red.) Jest to relacja z naszej muzycznej działalności, której początek ma miejsce jeszcze przed powstaniem Karpat Magicznych, a koniec opisanego etapu wypada na naszą pierwszą trasę po Stanach Zjednoczonych w 2001 roku. Druga książka to mój *Zielnik podróżny* (chodzi o: *Zielnik podróżny. Rośliny w tradycji Karpat i Bałkanów*, Ruthenus, Krosno 2012, przyp. red.). Książka mówi głównie o roślinach karpackich i bałkańskich, ale także o naszych podróżach i w tym wypadku istnieje wyraźne powiązanie z naszym sposobem na poszukiwanie inspiracji lub odpowiedzi na pojawiające się pytania. Z tego samego roku co Zielnik... pochodzą napisane przez Anię *Rubieże kultury popularnej* (chodzi o: *Rubieże kultury popularnej. Popkultura w świecie przepływów*, Arsenał, Poznań 2012, przyp. red.) Spośród wielu poruszanych w niej tematów, najistotniejsze dla naszej muzyki są zjawiska: neoszamanizmu, world music i kultury slow. W książce wyraźnie artykułowane są przesłanki i źródła naszych krytycznych stanowisk wobec niektórych przejawów tych zjawisk. Wyjaśniamy w ten sposób, dlaczego pewnych rzeczy nie robimy lub ich unikamy. Czwarta książka to właśnie *Vággi Várri*. (chodzi o: *Vággi Várri. W tundrze Samów*, Alter, Kraków 2013, przyp.red.) Jest to następny etap, ponieważ wchodzimy obecnie w nowy projekt o nazwie Noise to Silence. Projekt ten jest pochodną fascynacji północną Skandynawią i kulturą Samów, ale nie rozumianą dosłownie jako próba grania samskiej muzyki, a raczej jako próba uobecniania tego specyficznego stanu ducha, jaki daje nam tundra i pozaludzka, żywa przestrzeń.

Czy to osobny projekt?

W zamyśle osobny. Jesteśmy raczej za ewolucją niż rewolucją. Nie kończymy projektu Karpaty Magiczne. Weszliśmy nawet w ciekawą sesje nagraniową z naszym przyjacielem ze Słowacji. Pierwszy raz sięgniemy po niepublikowane stare pieśni rusińskie czy karpackie. Wcześniej wzbranialiśmy się przed takimi inicjatywami, ale odkryliśmy coś dla siebie w tej starej tradycji, którą poznajemy z pierwszej ręki i od odpowiednich ludzi. Wracając do *Vággi Várri*, na poznawaniu kultury Samów zeszło nam sześć lat bezpośrednich kontaktów i wiele lat wcześniejszych fascynacji. Może warto przypomnieć, że na naszej pierwszej płycie wydanej pod szyldem Karpaty Magiczne w 1999 roku (a nagranej w 1998 r.) jest już utwór pod tytułem *Joik Urdego Wierchu*, który pokazuje moją fascynację archaicznym stylem wokalnym Samów i smutek po zniszczonej nagle kulturze Łemków. Książka pokazuje zatem, że nasze obecne fascynacje tundrą i to co wobec tego robimy w naszej muzyce, nie są powierzchowne. Staramy się zawsze wiedzieć, co i dlaczego robimy w muzyce. Co ciekawe, książka nie była zaplanowana i nie była w ogóle naszym pomysłem. To fantastyczna sprawa, jak z filmu amerykańskiego, kiedy przychodzi wydawca i zamawia książkę. Nie czuliśmy się z początku gotowi, ale pojechawszy po raz kolejny do tundry, do naszych przyjaciół Samów, nabraliśmy w końcu pewności i zdecydowaliśmy się napisać tę relację. Wato dodać, że podczas naszych wypraw, które opisujemy, zawsze prowadziliśmy również nagrania terenowe i staraliśmy się dotrzeć do miejscowych instrumentów. Ze zgromadzonego w ten sposób materiału ukazały się, jak do tej pory, trzy płyty. Wszystko to stanowi ważną część bazy dla Noise to Silence. Ten projekt jednak oparty jest na organicznej improwizacji i naszych doświadczeniach z sound artem, co zostało udokumentowane podczas tworzenia instalacji z długich strun (18-22 m, struny stalowe), użycia unikalnych generatorów dźwięku oraz poszukiwania nowych instrumentów muzycznych w rodzaju daxophonów.

Skoro już o nagraniach terenowych mowa, swego czasu nagraliście, choć nie bezpośrednio pod szyldem Karpat Magicznych, płytę Barycz, gdzie nagrania terenowe odegrały ogromną rolę. Możecie coś więcej powiedzieć o tej płycie?

Barycz powstawała w bardzo specjalnych okolicznościach. Pomysł wziął się z Dolnośląskiej Fundacji Ekorozwoju. Mamy tam przyjaciół, którzy zwrócili się do nas, czy nie nagralibyśmy muzyki z głosami ptaków z doliny Baryczy. Środowiska ekologiczne zgłaszają się do nas z takimi pomysłami pewnie dlatego, że my bardzo szanujemy brzmienia przyrody i głosy zwierząt, które sami rejestrujemy lub wykorzystujemy na płytach. Nie staramy się ich udziwniać i zniekształcać, a raczej traktujemy je jak propozycje członków zespołu. Od Fundacji dostaliśmy fantastyczną dokumentację głosów ptaków – dziesiątki godzin nagrań. Samo przesłuchanie tego materiału,

znalezienie jakichś muzycznych elementów lub czegoś wyjątkowo inspirującego zajęło nam mnóstwo czasu. To był trudny okres i płyta powstawała w dość nerwowych okolicznościach. Wszystko trwało dosyć długo, więc postanowiliśmy ostatecznie postawić na autentyczność i akustykę. Zagrać to, co mieliśmy do zagrania i nie poświęcać za dużo czasu na miksowanie. Jest to więc specyficzna płyta – teraz zrobilibyśmy ją zupełnie inaczej (przynajmniej część utworów). Cieszy nas, że akcja, której częścią była płyta, odniosła sukces i duże połacie doliny Baryczy zostało ochronione. Żałujemy natomiast, że płyta nie funkcjonuje już właściwie w szerszym obiegu. Oprócz samych nagrań na płycie były też inne materiały – być może produkcja płyty multimedialnej okazała się za droga i Fundacja nie wróciła już do jej rozpowszechniania, ale możliwe, że zrobimy to my. Płyta miała bardzo ładną okładkę. Pamiętam jeszcze jak dyskutowaliśmy o okładce. Mnie wpadł pomysł, aby to było właśnie oko żaby, tyle że miało być dużo większe niż jest ostatecznie. Na tej płycie zastosowaliśmy też po raz pierwszy napis „słuchać cicho i z użyciem słuchawek". Nie był to slogan reklamowy, a jedynie podsumowanie naszych doświadczeń po wielokrotnym odsłuchiwaniu gotowych nagrań. Nasze doświadczenia prawie zawsze stawiają nas pod prąd panujących trendów, ale dawno zdecydowaliśmy, że będziemy doświadczali i słuchali własnej intuicji, a nie tego, co modne.

FOT. JAROSŁAWA SZWAGIERCZAK

Jak rozumieć termin *ethnocore*, którym się posługujecie i którym tytułowaliście niektóre swoje płyty?

Ethnocore to właściwie nie jest nasz oryginalny pomysł. Po rozwiązaniu Atmana w 1998 roku, zastanawialiśmy się, jak zdefiniować to, co chcemy robić w nowym projekcie: coś bardzo karpackiego, organicznie związanego z karpacką przestrzenią, ale jednocześnie nie folklor czy folk. Chodziło nam o istotny rdzeń „karpackości", o coś podstawowego dla miejsc, z którymi jesteśmy mocno związani. A ponieważ obracaliśmy się w towarzystwie bardziej anglojęzycznym, padło ostatecznie na *ethnocore*. Zakładając Karpaty Magiczne, chcieliśmy uniknąć brnięcia w stronę czegoś w rodzaju *folk-rocka* i *world music*. Taka muzyka była w tamtym czasie bardzo popularna i również Atman powoli zmierzał w tę stronę, ale ja i Ania mieliśmy zupełnie inne plany. Długo zastanawialiśmy się, co

naprawdę jest dla nas ważne. Atman to były takie klimaty, jak pierwsze uwiedzenie wyprawami do Indii czy Nepalu. Bardzo ważne rzeczy oczywiście, ale dla nas po pewnym czasie przyszła kolej na obranie innego kierunku. Nie można paradować do końca życia w bawełnianych, hippisowskich ciuszkach z Katmandu... Nie chcieliśmy też zamieniać naszej muzyki na rodzaj cyrku z różnymi instrumentami czy tzw. muzycznej wyprawy dokoła świata. Można być buddystą urodzonym w Karpatach, ale kreowanie się na *look* bosego szalonego jogina z Himalajów, to jest nic innego jak udawanie i dziecinada. Dlatego też, w pewnym momencie zadaliśmy sobie pytanie: „skąd jesteśmy i o co nam chodzi?". Oboje czujemy silny związek z Karpatami, z tą przestrzenią, na którą składa się kultura, krajobraz, rośliny i zwierzęta, twory geologiczne, smak i zapach, i karpacka melancholia – to właśnie wyraża dla nas nazwa *ethnocore*. Nie chcemy grać folku, ale to, że nie chcemy go grać, nie znaczy przecież, że nie możemy czerpać z tej wielowątkowej kultury i jej źródeł. To tak jak wzornictwo skandynawskie, które czerpie m.in. z kultury Samów, a nie jest folklorystyczne i dosłowne.

W jakiej kondycji jest wasza wytwórnia – World Flag Records? Jakie macie plany z nią związane?

Flaga Świata to bardziej nasze archiwum i dokumentacja, a także instrument niezależności, niż regularna wytwórnia muzyczna. Daliśmy w nazwie to „records" ze względu na obiegi zachodnie, gdzie to słowo odnosi się równie dobrze do małych labeli, co do gigantów. My nigdy nie mieliśmy zamiaru tworzyć wydawnictwa, które zajmowałoby się dystrybucją, poszukiwaniami nowych ludzi, których można by nagrać i zarobić na nich górę kasy czy tym podobnymi historiami. Obecnie uzbierało się ok. 40 płyt w naszej labeli. Niektóre z nich przechodzą właśnie lifting – powstają nowe, odświeżone okładki. Wszystko finansujemy sami. Dystrybucja jest bardzo mocno ograniczona, ale z drugiej strony łatwo do nich dotrzeć i nie są drogie. Ostatnio wiele z naszych płyt zaczyna być dostępnych w formatach cyfrowych i o ile udaje się czasem śledzić ich rozprowadzanie, to można stwierdzić, że docierają wszędzie. Niektóre tytuły powierzamy podobnym małym wydawnictwom w UK i USA, kiedyś we Włoszech, Szwajcarii, Niemczech i Szwecji. Dziesięć lat temu mieliśmy swoje płyty we wszystkich obiegach – Empikach, księgarniach, itd. Wycofaliśmy się z tego zupełnie, ponieważ nikt nie potrafi u nas sprzedawać takich płyt. Sprzedawcy skupiają się raczej na nowościach wylansowanych przez telewizję. Jak nie ma cię w telewizji, to nie ma sensu mieć płyt w sklepach. Nasi czarodzieje handlu i szołbiznesu specjalizują się w „lansowaniu wylansowanych", czyli właściwie ich robota polega na przytulaniu się do sław i udawaniu, że coś potrafią i na czymś się znają. Płyty sprzedajemy zazwyczaj po koncertach, dzięki czemu panujemy nad tym i nie musimy się rozliczać z jakimś wydawcą, który zazwyczaj, nawet po latach, ma pretensje, że nie został milionerem. Dlatego możemy na przykład komuś płytę podarować. Warto też wspomnieć o jedynym portalu, z jakim współpracujemy, czyli serpent.pl. Tam są prawie wszystkie nasze płyty, również w formacie MP3 i w innych formatach cyfrowych. Jeśli ktoś chce słuchać naszej muzyki, może słuchać jej za darmo, zanim zdecyduje się poprzeć naszą działalność aktem zakupu płyty. Nigdy nie byliśmy gorącymi zwolennikami praw autorskich w rodzaju „C w kółeczku". Chcemy żeby ludzie wiedzieli, że to my jesteśmy autorami, ale nie będziemy nikogo prześladować za to, że sobie skopiuje płytę. Płyta jako artefakt jest drugorzędną sprawą, liczy się bardziej muzyka i samo wydawnictwo równie dobrze opakowane może być w gazetę. My jesteśmy trochę oldschoolowcami i lubimy ładne okładki, dlatego też przykładamy się do wizualnej strony naszych płyt. Ostatnio wydawaliśmy materiał (pierwsze nagrania Noise to Silence z Berlina) na kasecie magnetofonowej, a jednocześnie udostępniliśmy go w Internecie bezpłatnie. Pewne rzeczy nie są dla wszystkich i nikomu nie będziemy wmawiać, że jest inaczej.

A jak wspominacie współpracę z wydawnictwem OBUH?

Współpraca z OBUH-em była wielowątkowa i bogata. Na jednej z naszych płyt (*Euscorpius Carpaticus* – przyp. red.) Wojcek (Wojcek Czern – przyp. red.) po prostu z nami gra, wzbogacając naszą muzykę i nadaje jej ciekawego smaku. Bardzo cenimy tę płytę. Sesja trwała trzy dni, a Wojcek miksował to później z pół roku. Jako wydawca, bez udziału muzycznego, wydał trzy nasze płyty. My za to wydaliśmy, niezauważoną niestety, płytę z koncertu w Lublinie, gdzie graliśmy właśnie razem z Wojckiem. Tam są bardzo ciekawe

FOT. JOANNA URBANIEC (Z PISMA „LODOŁAMACZ")

Wojcek był naszym producentem jeszcze za czasów Atmana. Płyta, która dała nam stałe miejsce w obiegu zachodnim to *Personal Forest* (najlepsza, moim zdaniem, płyta Atmana), co prawda, była zrealizowana przez nas samodzielnie w dobrym studiu w Krakowie, ale Wojcek pomagał nam w wydaniu jej na winylu w Niemczech. To był spory i ważny krok. Płytę podchwycono później w Kalifornii, poprzedziliśmy ją winylowym singlem i dzięki temu otworzyła się przed nami droga do wielu interesujących środowisk. Nie pojechaliśmy tam dlatego, że pan Minister Kultury podarował nam trochę kasy na promocję kultury polskiej, ale zapracowaliśmy na ten obieg własną wyobraźnią, pracą i odwagą. W tych czasach wspierał nas OBUH, który zaczynał być cenioną labelą. Nasza współpraca z OBUH-em jest więc odwieczna (śmiech). Z drugiej strony, mamy bardzo różne spojrzenie na realizację analogową. Nie wiem, czy realizacja analogowa przekładana na CD w komputerowym studiu ma jakikolwiek sens, choć oczywiście nagrywanie na szerokiej taśmie jest wielką przyjemnością i dobrą szkołą rzemiosła, bo pewnych rzeczy po prostu nie da się powtórzyć. Fundamentalnie różnimy się, jeśli chodzi o dystrybucje, tj. kontakty z tzw. Zachodem. Dla nas to konkretne osoby, które są albo interesujące i uczciwe albo nie. Nie ma czegoś takiego jak jakieś wielkie „zachodnie" środowisko. Nie przeceniamy tego obiegu, dlatego filozofia OBUH-a, z tamtego czasu, nie w pełni nam odpowiadała. Nie bardzo też rozumiemy to, co OBUH robi obecnie, choć pewnie nie śledzimy tego zbyt uważnie. Dziwi nas mieszanie sław muzyki współczesnej z Pendereckim na czele z jakimiś zespołami z zupełnie innej półki. W każdym razie nie współpracujemy już kilka lat i pewnie nie nawiążmy współpracy ponownie, bo właściwie nie ma takiej potrzeby. Kolejne powtórzenie sesji w analogowym studiu jest dla nas mało atrakcyjne. Bardziej interesuje nas technika nagrywania w warunkach „półstudyjnych", nie całkiem na tzw. „setkę", ale i nie w zamkniętym studiu z możliwością nieskończonej ilości nakładek. Tak powstała nasza płyta *Acousmatic Psychogeography* i tak powstanie nasza najbardziej „etniczna" płyta nagrana w sesji z Michałem Smetanką i jego przyjaciółmi ze Słowacji.

Chciałbym zapytać o waszą duchowość...

Jesteśmy buddystami. To jest obszar naszej praktyki duchowej i skupionej na pracy z umysłem bardziej niż religijnej. Buddyzm to bardzo specyficzna religia i styl życia – ma bardzo otwartą formę, jeśli chodzi praktykowanie. Mimo że schronienia przyjmowaliśmy w obrębie innej szkoły, blisko jest nam do istoty zen – mniej filozofii i *quasi* religijnych rytuałów, a więcej spotkania twarzą w twarz z tym, co jest naprawdę. W tundrze, choć to inna kultura, zen obecne jest na każdym kroku. Dla nas wyprawy w góry czy w ogóle w jakikolwiek obszar nieprzesycony ludzką obecnością jest rodzajem praktyki duchowej. Ale oczywiście nie jesteśmy tak

FOT. JAROSŁAWA SZWAGIERCZAK

uduchowieni, że każdy krok na nartach jest wielkim przeżyciem religijnym kończącym się nirwaną (śmiech).

Co jest dla was ważniejsze - nagrywanie płyt czy koncerty? W jednym z wywiadów mówicie, że przede wszystkim koncerty, ale w innym wspominacie, że np. taka atmosfera, jak podczas sesji w Sopatowcu, jest wyjątkowa.

W Sopatowcu też była publiczność. To jest i tak, i tak. Taki rodzaj pracy, w skupieniu, w studiu, gdy współpracujemy ze swoimi ulubionymi realizatorami dźwięku, to jest coś, czego się nie da uzyskać na koncercie. Z drugiej strony – jesteśmy strasznie koncertowymi zwierzętami (śmiech). Czasem publiczność generuje taką atmosferę, że gra się lepiej, niż się potrafi (śmiech). Kiedy byłem młody, to grałem na koncertach rzeczy zupełnie nie do powtórzenia w studiu. Nie wiem, jak to się działo. Długo pracowałem, aby móc swobodnie uzyskiwać taki rodzaj koncentracji, niezależnie od miejsca grania muzyki. Jeszcze z czasów Atmana miałem powiedzenie, że zespół, który nie gra koncertów, nie istnieje. Nie wierzę w grupy, które się zamykają w studiu i nie koncertują. Koncert pokazuje nam, gdzie naprawdę jesteśmy. Przy dzisiejszych możliwościach technicznych z dźwięku spadającej szklanki na podłogę można zrobić pół płyty, ale to jest nieprawdziwe. Na tym polega porażka tzw. „sceny laptopowej". To są czasem bardzo przemyślane rzeczy, ale tego się nie da długo słuchać (śmiech). Na koncercie trzeba coś naprawdę zagrać. To jest stała konfrontacja – to, co robimy w domu i to, co robimy na koncertach. Z drugiej strony – nigdy bym nie zrezygnował ze studia – tam jest ten spokój, możliwość multiplikacji swoich pomysłów, dopracowania swoich zamierzeń. Tak więc: jedno drugiego nie wyklucza. Jednak myślę stale, że dopóki gramy koncerty, to istniejemy jako projekt muzyczny.

Powiedzcie jeszcze, jak wspominacie koncert w Toruniu na CoCArcie z 2009 roku?

Szkoda, że nie było wtedy wspólnej płaszczyzny, na której można by się spotkać z innymi muzykami. Uwielbiamy takie spotkania. Po to właściwie są te festiwale, aby można było porozmawiać z interesującymi ludźmi. W Toruniu graliśmy wcześniej kilkakrotnie, ale w innych miejscach. Zawsze nas zapraszał dawny skład Hati. Chętnie odwiedzamy Toruń. Lubimy takie miasta – miasta, które są prawdziwymi miastami – mają rynek, starówkę mającą więcej, niż ostatnie dwadzieścia lat. Wracając do CoCArt Festival – piękne duże miejsce, a festiwal odbywał się w garażu. Rozumiem alternatywne nawyki, ale moim zdaniem, skoro się ma CSW, to rzeczy związane z *sound artem* powinny być pokazywane na równi z dziełami plastycznymi.

Dziękuję za rozmowę.

B.I.B., czyli Czarne Jest Piękne

Karolina Wiśniewska

Na projekt *Black Is Beutiful* Kanadyjczyka Allistera Lee trafiam przypadkiem i od razu docierają do mnie pozytywne wibracje. Przypadkiem, bo chociaż używam czarnego markera tu i ówdzie, nie mogę nazwać siebie w tej kwestii pasjonatką. Sprawa ma się inaczej dla Lee, który z tematu czarnego markera uczynił życiowe przedsięwzięcie.

Projekt istnieje od ponad dekady, a powstał całkiem naturalnie. W pudełku po butach służącym za przybornik zebrało się nagle uderzająco dużo czarnych markerów. Allister zaczął powiększać i katalogować zbiór, przenosząc go na blog w postaci rysunków poszczególnych pisaków. „Czarny marker jest wszechstronnie użyteczny, niedrogi i szeroko dostępny, jest też czymś, czego używam na porządku dziennym w procesie tworzenia – do szkicowania, robienia notatek, wykończenia prac. Dla mnie idealny przedmiot do zbierania." Wydawałoby się, że to pomysł z pogranicza obsesji, na dodatek mało odkrywczy. Jednak, obok samej kolekcji przedmiotów, temat czarnego pisaka swobodnie rozwija się na pograniczu sztuki, designu, grafiki i komiksu.

Po pierwsze więc: rośnie baza danych o czarnych markerach całego świata, zdobytych w sklepach papierniczych i artystycznych, na eBayu, na targowiskach i od znajomych. Tu trzeba zwrócić uwagę na dbałość, z jaką każdy marker w kolekcji opatrzony jest kompletem zdjęć naturalnej wielkości oraz uwagami co do sposobu jego użytkowania. Wizualnie wygląda to nowocześnie, elegancko i przejrzyście, jak na rasowego grafika przystało: białe tło, wyraziste kontury flamastrów i oszczędny tekst pisany ładną czcionką. Katalog umożliwia szukanie alfabetyczne lub według słów kluczowych, są też kategorie obejmujące stare markery o wartości muzealnej oraz podróbki znanych marek. Czarno na białym przemówi to do profesjonalnych użytkowników czarnego markera, ale intuicyjna obsługa pozwala każdemu przygodnemu laikowi swobodnie wędrować po zbiorze zdjęć.

To jednak nie koniec *Black Is Beautiful*, a właściwie to dopiero początek. Krążąc po stronie projektu, bardzo szybko trafiamy na jego kolejne odsłony. Najpierw świetny plakat *500 markers*, a więc 500 pisaków w jednym ujęciu. I tu znów – niby nic, ale to ciekawy powrót do korzeni kolekcji. W tym pomyśle marker jest równocześnie środkiem i celem, każdy element plakatu został najpierw w ciągu kilku lat nakreślony odręcznie w naturalnej wielkości, po czym z kolażu jednostkowych prac powstała całość. Prostota takiego manewru ujmuje; w dobie wszechobecnej cyfrówki Lee popłynął tu pod prąd i sam uwiecznił swoją kolekcję krok po kroku i to na najzwyklejszym szarym papierze. Po plakacie trafiamy na grafiki, wśród których jest na przykład „czarne" ujęcie komiksowych superbohaterek. Z grafik powstają dalej naklejki i projekty spodów deskorolek, kupić można też T-shirty zakreślone czarnymi kreskami o różnych grubościach. Całości dopełnia animacja kroczącego markera, upamiętniająca założenie projektu. Składa się na nią 16 ręcznie rysowanych, ponumerowanych i sygnowanych klatek, które również wystawione są na sprzedaż.

Black Is Beautiful powstał prozaicznie, ale cały czas się rozwija dzięki elastycznej kreatywności młodego artysty. *Uncapped* – „odkryty", czyli całkiem nowa zakładka w projekcie, co miesiąc przedstawia wywiad przeprowadzony z innym profesjonalnym użytkownikiem czarnego markera. Jak mówi Allister: „łączy to kropki pomiędzy ludźmi i ich sposobem na użycie czarnego markera w życiu codziennym".

Dziś w kolekcji jest 141 markerów, 9 kolejnych zasila zbiór każdego tygodnia. Taka determinacja i pasja dają pewność, że zgromadzone dotychczas 750 pisaków trafi kolejno na listę *Black is Beautiful*. Przy takim tempie starczy to zaledwie na kolejny rok, ale czarny marker Allistera Lee żyje już dziś własnym – i to całkiem barwnym - życiem. Nie wiadomo, co dokładnie z projektu jeszcze wyniknie, ale to właśnie stanowi o sensie tej kreatywnej przygody. To niewątpliwie historia obsesji, ale jakże łagodnej i zaprzężonej do twórczych celów. We wciąż rosnącym, międzynarodowym zbiorze czarnych flamastrów widać pomysłowego młodego artystę, robiącego coś z niczego, całkowicie po swojemu i w godny podziwu sposób. Zainspirowana takim przykładem, inaczej teraz spoglądam na własne małe kolekcje niczego ważnego, a gdy znów wpadnie mi w ręce czarny marker, na pewno sprawdzę czy Allister Lee już taki ma na swojej liście.

FOT

http://allisterlee.ca/

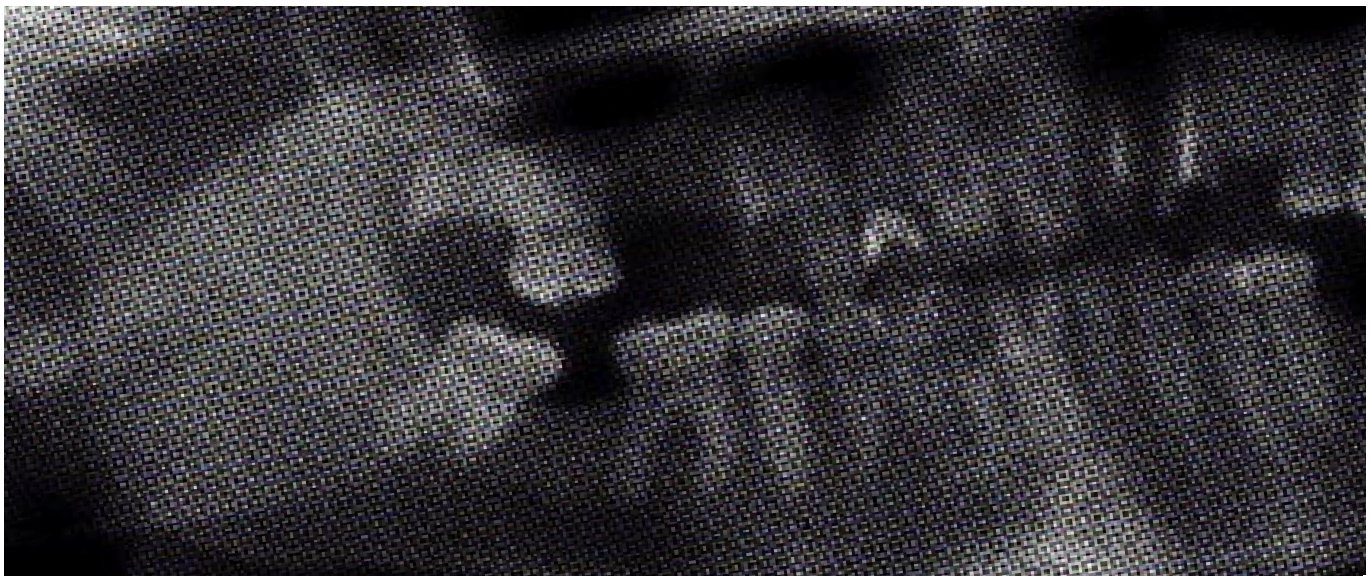

Zgrzyty i pęknięcia

Pogoda nas nie rozpieszcza, wiosna chyba jedzie do Polski pociągiem wg rozkładu Kolei Śląskich, a w efekcie alergikom kalendarze nawalają… Słyszy się ciągle, że te jak i wiele innych „zgrzytów" występujących w naszej rzeczywistości irytują i demotywują do jakiegokolwiek kreatywnego działania. Czy jest tak w rzeczywistości?

Z racji swojej profesji – wyuczonego sceptyka i kontestatora – zaczynam kwietniowe wydanie *Pod okładką* od odpowiedzi na postawione pytanie.

Wraz z nadejściem kalendarzowej wiosny klimat faktycznie nie wprawiał nas w pozytywny nastój. Ale nie bądźmy nudni, coś w tej zlodowaciałej aurze zaczęło „pękać" a metaforyczny lód został strzaskany! Komiks w tym roku kwitnie doskonale i zapowiada się, że owoce tego stanu będą liczne. Świadczą o tym udane imprezy i liczne wydania znanych jak i nowych autorów na naszym rynku.

Przejdę do rzeczy. Jedną z pierwszych imprez komiksowych w ostatnich dniach była BYDGOSKA SOBOTA Z KOMIKSEM 2013 (23. marca), gdzie gościli m.in. Tomasz Samojlik, Tony Sandoval z premierowym komiksem *Doomboy* (TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2013). W kolejnym wydaniu *Menażerii* będą mogli Państwo zapoznać się z wyczerpującą relacją przygotowaną przez Dawida Śmigielskiego.

Kolejnym istotnym wydarzeniem był KRAKOWSKI FESTIWAL KOMIKSU (24–25. marca), gdzie także gościł Tony Sandoval (w ramach *Tour de Sandoval*). W tym samym czasie nałożyła się impreza równie istotna dla świata komiksowego – znacznie większa i z dłuższą tradycją, a mianowicie poznański PYRKON (22–24. marca).

Co do pozycji wydanych w ostatnim czasie, to fanów Batmana uszczęśliwiono faktem pojawienia się pierwszego tomu *Trybunału Sów* (NOWE DC, EGMONT 2013), jak i licznymi planami druku pozostałych tytułów z Nowego Uniwersum DC. Wielbicieli Hellboya zadowolił kolejny tom przygód pt. *Lichwiarz i inne opowieści* rysowany m.in. przez legendarnego Richarda Corbena (EGMONT 2013). Do pozostałych rewelacji należą zapowiadane i faktycznie rozpoczęte wiosenne promocje cenowe u różnych wydawców i sprzedawców.

Kwietniową odsłonę Pod okładką otwiera wywiad z Dariuszem *Pałą* Palinowski, legendarnym twórcą pierwszego undergroundowego zinu *Zakazany Owoc*. W skład tego wydania wchodzą trzy nowe formy prezentacji świata komiksu. Pierwszą jest relacja z imprezy komiksowej, a mianowicie z LONDON SUPER COMIC CONVENTION 2013 autorstwa Adama Blicharskiego. Kolejną jest Adam Krupy przybliżenie sylwetki klasycznej postaci komiksowej - Vampirelli oraz jej twórców. Do nowości należy także felieton krytyczny autorstwa Dawida Śmigielskiego traktujący o losach kioskowych *Gwiezdnych Wojen*. Sekcję recenzji tradycyjnie i wytrwale prowadzi Szymon Gumienik. Prezentuje on w dwóch odsłonach komiks: poważnej – recenzując znakomite dzieło *Niedźwiedź, kot i królik* Michała i Marii Rostockich (KULTURA GNIEWU 2013) – oraz zabawnej – śmiejąc się przy lekturze *Człowieka Paroovki* Marka Lachowicza i Tomasza „TFJK" Kuczmy (KULTURA GNIEWU 2012).

Gościem kwietniowej odsłony *Pod okładkowego* komiksu jest Ojciec Rene, niezależny scenarzysta i rysownik licznych prac i autorskich zinów *(Rozwolnienie jaźni, Sucker: Dildo of destany, Rogal: Wydupczona Czarodziejka*) oraz poeta. Specjalnie dla *Menażerii* prezentujemy kilka jego ilustracji. A wszystko w wulgarnym duchu, którym nie pogardziłby sam „Pała".

Życzymy miłej lektury!

Jacek S. Podgórski

POD
OKŁADKĄ

ZAWODNIK

WAGI CIĘŻKIEJ

FOT. DARIUSZ „PAŁA" PALINOWSKI

z Dariuszem „Pałą" Palinowskim o życiu poza komiksem, ojcostwie i permanentym „wkurwie" rozmawia Jacek Seweryn Podgórski

Oddać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie – za te słowa pewnie dostanę w gębę od Darka, ale postaram się niniejszą frazę umieścić w odpowiednim kontekście wywiadu, którego będą mieli Państwo przyjemność za moment przeczytać. Prawda jest taka, że postać Darka „Pały" Palinowskiego jest kontrowersyjna tak samo jak powyższe słowa. Jego twórczość na trwałe zapisała się już w historii polskiego komiksu. Obszar tematyczny, jak i forma wydania twórczości, wokół jakiej się poruszał, była surowa i bezwzględna. Okrzyknięty ojcem nadwiślańskiego undergroundu komiksowego wykreował w swoich zinach *Zakazany Owoc* rzeczywistość pełną paradoksów, brutalnego czarnego humoru wyrażającą swój sprzeciw wobec Kościoła, jak i jakichkolwiek ruchów społecznych - anarchistycznych i nacjonalistycznych. Autentyczność i surowość komiksów Pały jest tak uderzająca, że nie sposób przejść koło plansz i pasków Palinowskiego obojętnie. Estetyka punkowa została w pełni odzwierciedlona.
Niewystarczające jest stwierdzenie, że „Pała" był osobą, która tworzyła w odpowiednim miejscu i konkretnym czasie. Mimo, że tworzył fanzin na przestrzeni lat 1989–95 (okresie burzliwych przemian i buntu), problemy, jakie poruszał, są nadal aktualne, a ich krytyka jest wciąż niezwykle trafna.
Czy pryzmat, przez który spoglądał „Pała" na rzeczywistość, zmienił się? Czy postawa tego twórcy komiksowego i komentatora rzeczywistości społecznej wyrosła z buntu? Miejmy nadzieje, że odpowiedź na te pytania, jak i wiele innych zostanie podana.

? Darku, będzie krótko i węzłowato! Co aktualnie porabiasz i czym się obecnie zajmujesz – powiedz coś o swoim obecnym życiu. Niektórzy wtajemniczeni wiedzą, gdzie obecnie pracujesz (schronisko dla zwierząt w Toruniu), w związku z tym pytanie: jak traktujesz swoją obecną pracę?

Oprócz pracy w schronisku dla bezdomnych zwierząt, nie robię właściwie nic szczególnego. W dni wolne piję dużo piwa, palę jointy, piekę lub zamawiamy pizzę, a na co dzień kruszę mnóstwo białych kamyczków, słucham dużo muzyki, uprawiam z żoną seks, oglądam stare filmy, trochę czytam, chodzę z synem na angielski i aikido, nie wykruszyłem się tak do końca artystycznie, ale brakuje mi w domu miejsca na klejenie kolaży, bo rysować mogę nawet w kuchni, ale mi się nie chce.

Jak traktuję obecną pracę? Myślę, że bardzo poważnie. Niektórzy uważają nawet, że zbyt poważnie. Jestem wkurwiony, gdy widzę, jak komuś się coś nie chce lub „nie ma dnia do pracy".

? Oprócz barwnego życiorysu, no i jak to się mówi „głowy nie od parady", jesteś ojcem – jak starasz się wychować swoje dzieci? Nie żyją one już w okresie buntu tak jak Ty czy jest może inaczej?

Jestem bardzo „nowoczesnym ojcem" pomimo tego, że ojciec ma zawsze rację. Wszystkie dzieciaki buntują się na swój sposób, a jeżeli nie, to jest wina rodziców lub systemu, w którym żyją. Mnie nigdy nie wkurwiało to, że mój 14-letni syn Eryk pije piwo, pali fajki czy skręca baty. Mój drugi, 6-letni syn Viktor jest na razie na etapie gier i superbohaterów lub tak jak ja lubi chodzić po starych toruńskich kościołach, by robić śmieszne foty. Bruno ma pięć miesięcy i jedyne, co wkurwia, to swędzenie dziąseł i jak śpi w łóżeczku sam.

? Na to pytanie zapewne byłeś nastawiony od początku. Dokument o twojej twórczości i osobie mieliśmy przyjemność jakiś czas temu obejrzeć (Zakazany owoc nr 6, autorstwa grupy LE KOLEKTIFF NEGATIF) i tam padła jedna kwestia. Kiedy można spodziewać się nowego długo oczekiwanego *Zakazanego Owocu*?

Zapowiedzi *Zakazanego Owocu* nie mają jakiegokolwiek sensu, podobnie jak wywiad ze mną, bo od dawna nic nie rysuję, a zgodziłem się, bo byłem nachlany. Chciałbym za jakiś czas wydać album moich kolaży przeplatany komiksem. Jeżeli uda mi się wszystko to poskładać i posklejać i ktoś mi to wyda, byłoby ZA-JE-BI-ŚCIE!

Zatem jak wygląda twój obecny kontakt z komiksem – śledzisz rynek komiksowy, co tak właściwie poczytujesz w wolnych chwilach? Jeżeli tak, to co sądzisz o pracach swoich kolegów „po fachu”?

Mało ostatnio śledzę rynek komiksowy. Ostatnim chyba komiksem, jaki przeczytałem, był *Pinokio* Winshlussa (KULTURA GNIEWU 2010 – przyp. JSP). Lubię *Cowboy'a Henka* (polecamy stronę www.cowboyhenk.com i cowboyhenk-comic.blogspot.com), rysunki Ivana Bruna (francuski autor znany w Polsce z albumu *Bez komentarza*, KULTURA GNIEWU 2009 – przyp. JSP) i Juana Díaza Canalesa (francuski autor znany w Polsce z serii *Blacksad*, wyd. SIEDMIORÓG a potem EGMONT – przyp. JSP). Nic nie kupuję, bo nie mam pieniędzy. Rok temu kupiłem z dwie części *Emily* z naszej księgarni w przecenie. Lubię bardzo komiksy Janka Kozy (kozakoza.blox.pl) i Rycha Dąbrowskiego (autor słynnego *Likwidatora* i *Redaktora Szwędaka* – przyp. JSP), Rebelka też jest niezły (www.rebelka.freshsite.pl). Śledziu to zawodowiec (www.sledziu.pl – przyp. JSP). Raczkowskiego kocham jak każdy.

Jak sam powiedziałeś – obecnie nic nie rysujesz, ale udzielasz się intensywnie na swoim profilu na facebooku. Czy nie jest tak przypadkiem, że przeniosłeś idee „Zakazanego” do świata wirtualnego?

Fejsbuk to gówno, ale ma kilkaset fajnych stron. Wcale nie udzielam się intensywnie. Wrzucam tylko dziennie parę zdjęć, które mi się podobają, to wszystko.

Trochę popłynę w kolejnym pytaniu, ale muszę jedną rzecz powiedzieć. Osobiście uważam, że timeline twojego profilu to nie tyle, co prowokujący i drażniący kolaż ilustracji i komentarzy różnych użytkowników (z różnych środowisk), ale pewnego rodzaju satyra i prowokacja skierowana w stronę konserwatystów, modowych przygłupów, neonazioli o niskim IQ, religijnych maniaków i można długo wymieniać. Masz świadomość, że śledzi oraz komentuje twoje poczynania masa ludzi – blisko 1000 użytkowników?!

Na Fejsbuku większość rzeczy jest dozwolona. Wkurwia to tylko zjebów zgłaszających naruszenia. Najśmieszniejsze jest, gdy np. jakiś urażony Adolf uprzejmie donosi centrali żydowskiego portalu, że ktoś naruszył zasady społecznościowe i jego światopogląd.

Mając na uwadze ciągłe zmiany społeczno-ekonomiczne, spytam wprost – co ciebie aktualnie wkurwia?

Wkurwia mnie Janda i Więckiewicz. Dzień potrafi mi zepsuć piosenka Niemena w radiu. Nienawidzę nowego papieża i kultu łechtaczki z Wadowic, zespołu Kult zresztą też. Na wymioty mi się zbiera, gdy oglądam kibiców na Jasnej Górze, dmuchany kościół, samolot-pomnik na kołach od poloneza, ryja Radwańskiej. Psychicznie wykańczają mnie górale i ich gówniany folklor. Nie cierpię głosu Kraśki, reklam z Małyszem, cwela Adamka, tłustego Piekarczyka z TSA, zespołu O.N.A., Marszu Niepodległości, katoedukacji w szkole, rozrywki w TVN, Familiady, Ekspresu Reporterów i sprzedaży zniczy na Święto Zmarłych.

Może na koniec jakiś komentarz podsumowujący. Jakbyś skomentował to, co się dzieje obecnie na scenie politycznej, klimat społeczny? Czy estetyka komiksowa, którą obrałeś, odnajduje się w świecie realnym – czy ma jeszcze moc sprawczą?

Dymane społeczeństwo jest chyba z lekka. Podkurwione, ale rewolucji raczej nie będzie. Według sondaży prezydent cieszy się największym poparciem, a Polacy robole to katole i tępe chuje. Wszystko w tym zasranym kraju jest komiksem. Zakupy w taniej odzieży, telefony komórkowe, wypad do centrum handlowego, tym żyją dzisiaj Polacy. Problem numer jeden od lat na topie – chuj wie dlaczego? – służba zdrowia.

Kilka słów na zachętę:

Dla niewtajemniczonych odpowiadamy na pytanie, kim jest Dariusz „Pała” Palinowski, a w zasadzie, co tworzy(ł), bo jak deklaruje się w wyżej przeprowadzonym wywiadzie nie ma zamiaru rysować, woli kolaż. Dariusz „Pała” Palinowski to

pierwszy undergroundowy polski komiksiarz z prawdziwego zdarzenia – podobnież ojciec tego gatunku nad Wisłą. Zestawiany jest z takimi twórcami gatunku jak Krzysztof „Prosiacek" Owedyk (autor cyklu *Prosiacek, Ratboy* i *Blixa i Żorżeta*) i Ryszard Dąbrowski (autor cyklu *Likwidator* i *Redaktor Szwędak*). W latach 1989–95 wydawał swój fanzin *Zakazany Owoc*. Dotychczas w dorobku artysty ukazało się 5 numerów zinu *Zakazany Owoc* oraz *Niezwykłe przygody Braci Kowalskich* (najpierw jako fanzin w 1996 r., potem drugie wydanie ujrzało światło dzienne dzięki wydawnictwu KULTURA GNIEWU w 2003 r.). Antologia *Zakazany Owoc* doczekała się wydania w 2000 roku dzięki staraniom wyd. KULTURA GNIEWU. Warto dodać, że wymienione wydawnictwo powstało specjalnie by wydać zbiór prac Palinowskiego.

Obecnie z twórczością Palinowskiego można zapoznać się dzięki jeszcze dostępnej antologii wszystkich zebranych prac pt. *Zakazany owoc i bracia Kowalscy w jednym* (KULTURA GNIEWU 2010). Do pozostałych prac należą m.in. własne interpretacje postaci Likwidatora Ryszarda Dąbrowskiego (*Likwidator Alternative. Antologia 1*, PASAŻER 2005).

W latach 2010/11 ekipa LE KOLEKTIFF NEGATIF (w składzie Piotr Buratyński, Michał Kowalski, Dawid Śmigielski) nakręciła film dokumentalny o bohaterze wywiadu. Dokument nie tylko przedstawia twórczość artysty, ale stanowi swego rodzaju kronikę. Palinowski opowiada w filmie o swoim dzieciństwie, dorastaniu, buncie, planach otwarcia w Toruniu sklepu związanego z komiksem. Pojawiają się też prywatne zdjęcia z kilkuletniego pobytu Palinowskiego i jego żony w Londynie.

Źródło ilustracji: Dariusz „Pała" Palinowski / www.kultura.com.pl

OJCIEC RENE prezentuje:

PAPIEŻ ZREZYGNOWAŁ ...
HMM... W JAKIEJ INTENCJI BĘDĘ SIĘ TERAZ MASTURBOWAŁ...?
OJCIEC RENE 2013

I CO, CO JEST PO DRUGIEJ STRONIE ...?!
WSZYSTKICH BEZ WYJĄTKU JEBIĄ KONIE...
OJCIEC RENE 2013

O nieśmiałym zdobywaniu wysp

Autor: Adam Blicharski

- RELACJE I OPINIE

W tam serdecznie wszystkich fanów komiksu (i nie tylko) z całej Polski! Postanowiłem podzielić się z Wami swoimi wrażeniami z *London Super Comic Convention 2013*. Impreza ta organizowana jest po raz drugi i tym razem udało mi się na nią dotrzeć. Niestety byłem obecny tylko w sobotę, ale ten błąd naprawie w przyszłym roku. Na miejscu zjawiłem się o dziewiątej rano i musze przyznać, że już sam widok budynku (*Exhibition Centre London*), w którym odbywał się konwent wywarł na mnie ogromne wrażenie. Proste słowa tego nie opiszą. Ten światowej sławy budynek trzeba po prostu zobaczyć (polecam stronę: *www.excel-london.co.uk*).

Przejdźmy do rzeczy – za jednodniowy bilet wstępu należało zapłacić 20 funtów (weekendowy 30 funtów). W cenie, oprócz przepustki, otrzymałem reklamówkę z darmowymi komiksami, w tym pierwszy numer nowej serii ze Spider-Manem (*Superior Spider-Man*) oraz *Midnight Kiss* i *The Lexian Chronicles* z brytyjskiego wydawnictwa MARKOSIA, plan imprezy i materiały promocyjne różnych wydawnictw. Po sprawdzeniu przepustki zostałem skierowany do 200-osobowej kolejki, która „przesuwała się" po ogromnej hali, łudząco przypominającej tę z filmu *Batman Begins*, gdzie Bruce Wayne, aka Batman, testował swojego Tumblera.

Po niemal godzinnych oczekiwaniach „wrota raju" zostały otwarte i wszyscy oczekujący spokojnie udali się w kierunku głównej hali konwentu. Fakt, że byłem już na miejscu, wprawił mnie w podekscytowanie, a gdy już wszedłem do środka, to po prostu oniemiałem z wrażenia. Nie wiedziałem, w którą stronę mam się udać. Moim oczom ukazała się ogromna przestrzeń, na której znajdowały się stoiska z wydawnictwami, figurkami, ubraniami i całą masą gadżetów. Wymienić mogę tutaj przede wszystkim: figurki bohaterów z nowego DC, koszulki, kolekcje przedmiotów z rożnych filmów jak: batarangi, miecz Blade'a czy maska Jokera. A wokoło stały billboardy reklamujące wydawnictwa i bohaterów komiksowych.

RELACJA Z
LONDON SUPER COMIC CONVENTION 2013
23-24. LUTY 2013,
EXCEL CENTER, LONDYN

Chodziłem jak zahipnotyzowany pomiędzy stoiskami, obserwowałem ludzi poprzebieranych za postacie z komiksów, gier i filmów. Piękne dziewczyny w seksownych kostiumach (najbardziej wpadały w oko przebrania Supergirl i Catwoman). Oczywiście wszędzie biegały maluchy w strojach Supermana, Batmana czy Hulka. W pamięci najbardziej utkwiły mi dwie grupy cosplay'owców. Pierwsza to czarnoskóra rodzina, w której tata był przebrany za Blade'a, mama za jakąś wojowniczkę, a dzieci w wieku około trzech lat za padawanów Jedi. Druga to bardzo seksowne dziewczyny w strojach Elektry, Katany, Lary Croft z Tomb Rider oraz damskiej wersji Jokera (Harley Quinn).

No cóż, atmosfera była niesamowita. W powietrzu czuło się coś, czego bardzo brakuje w Łodzi w czasie trwania *Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier*, a konkretnie – klimatu wzajemnej zabawy i luzu. Każdy był uśmiechnięty, skory do pozowania i rozmowy. Wykorzystałem ten aspekt i zacząłem fotografować się z przebranymi fanami, co sprawiało nieco kłopotu, ponieważ byłem sam, a więc za każdym razem potrzebowałem pomocy osoby trzeciej. Podczas „sesji" z księżniczką Leią, zostałem przez nią zapytany, skąd jestem. Odpowiedziałem, że z Polski, a ona uśmiechnęła się miło i powiedziała, że jestz Niemiec. Był to dość przyjazny akcent mojej konwentowej wycieczki. Dodam jeszcze, że oprócz akcentu przyjaźni polsko-niemieckiej mogłem stwierdzić i zaprzeczyć stereotypowi, jakoby niemieckie kobiety były brzydkie.

Przemierzając powierzchnię hali konwentu, mogłem stwierdzić wyraźnie, że największe stoiska miały wydawnictwa: TOP COW, AVATAR, ZENESCOPE, AAM/MARKOSIA oraz kultowe

2000AD. Jednym zdaniem – wydawnictwa brytyjskie dominowały. Cała reszta to wielki mix komiksów z największych wydawnictw amerykańskich. Można było znaleźć wszystko, czego dusza zapragnie. Na konwencie jednak nie znalazły się samoistne stoiska DC lub MARVELa (nie mam pojęcia, dlaczego). Jako że jestem fanem DC, udałem się prosto do stoiska, przy którym znajdowało się najwięcej tytułów z tegoż wydawnictwa. Ceny wydań zbiorczych były w moim odczuciu umiarkowane, owszem, po upustach ceny trejdów nowego DC COMICS wahały się w granicach 11-12 funtów (w sklepie normalnie kosztują 17-20 funtów). Jednak nie wszystkie komiksy były tak tanie, za pierwsze lepsze wydanie zbiorcze *Sędziego Dredda* trzeba było zapłacić od 20 funtów wzwyż. Nie ma co się oszukiwać, dobry komiks kosztuje, a Dredd to niemal bohater narodowy na wyspach.

Jeżeli chodzi o panele, to było ich stosunkowo mało, ale tylko z racji tego, że wszystkie mieściły się w jednym, wydzielonym miejscu i odbywały się po kolei. Byłem jedynie na spotkaniu poświęconym 50-leciu MARVEL COMICS. Twórcy z tego wydawnictwa rozmawiali ze sobą o całej historii i przyszłości amerykańskiego edytora oraz filmów na podstawie jego komiksów. Jeżeli ktoś nie znał historii MARVELa, mógł się m.in. dowiedzieć, od czego wszystko się zaczęło i jaki wpływ na to wydawnictwo miał Stan Lee oraz jak wyglądał rozwój poszczególnych bohaterów przez lata działalności *Domu Pomysłów*. Każdy panel trwał zaledwie 45 min., toteż nie znalazło się za wiele czasu na pytania od publiczności. Pozostałe tematy paneli to m.in. ,*Daredevil*, *Dredd historia, Superior Spider-Man*, *Batman poprzez wieki*.

Po dyskusji panelowej udałem się po autografy. Każdy artysta miał swój stolik i osobno odgrodzone przejście do niego. Fanów spragnionych autografów było bardzo wielu. Na początku kolejka posuwała się powoli, ponieważ ludzie przynosili po kilkanaście komiksów do podpisania, ale szybko zredukowano ten proceder do dwóch egzemplarzy na głowę. Od tej pory kolejka poruszała się całkiem sprawnie. Od razu rzuca się różnica miedzy rodzimym MFKIG a LSCC. Zero nerwów, kolejki odgrodzone od siebie specjalnymi poręczami tak, żeby nikt z zewnątrz nie mógł się wcisnąć „na chama", a w dodatku każda z kolejek była pilnowana przez obsługę.

Natomiast aby zdobyć rysunki swoich ulubionych rysowników, należało udać się do specjalnie wydzielonej strefy. Każdy artysta miał swój stolik, przy którym tworzył rysunki. Taka przyjemność kosztowała od 10 funtów wzwyż. Najbardziej obleganymi byli: David Finch (kanadyjski artysta odpowiedzialny za nową odsłonę serii *Batman: The Dark Knight*), Neil Adams (amerykański weteran sceny komiksowej, tworzył dla WARREN PUBLISHING, twórca wielu klasycznych historii, tworzył na łamach serii *Batman, Deadman, Green Arrow, X-Men* i T*he Avengers*), Gary Frank (brytyjski rysownik, znany z serii *Mignight Nation* dla TOP COW i *Supreme Power* dla MARVELa) oraz Brian Bolland (brytyjski twórca publikował w ramach magazynu 2000AD, do klasyki należy jego seria *Camelot 3000* i *Batman: Killing Joke*, one-shot stworzony wraz Alanem Moorem). Bardzo miło wspominam scenarzystę, Georga Pereza (amerykański twórca, był jedną z osób odpowiedzialnych za zrewolucjonizowanie całego uniwersum DC COMICS tworząc *Crisis on Infinite Earths*), który okazał się bardzo wesołym i zabawnym

facete. Do każdego sie przytulał i chętnie pozował do zdjęć (bez większych problemów uzyskałem autograf od niego jak i od innych autorów). Na moje pytanie, „czy odwiedzisz Polskę?", odpowiedział, że jeżeli tylko dostanie zaproszenie, to z przyjemnością. O to samo zapytałem Gary'ego Franka, który również stwierdził, że z chęcią przyleciałby do naszego kraju, o ile dostałby zaproszenie. Po chwili namysłu dodał, że w tym roku nie znalazłby na to czasu, ponieważ jest zajęty promocją swoich komiksów, ale na przyszły rok nie ma jeszcze żadnych planów.

Niestety, nie miałem już czasu na zdobywanie innych autografów, a szkoda, bo lista gości była imponująca. Londyński konwent oprócz wcześniej wymienionych odwiedzili m.in. J.Scott Campbell (etatowy rysownik studia WILDSTORM, znany z takich serii jak *Gen*[13] i *Danger Girl*), David Mack (autor świetnego komiksu *Kabuki*), Roy Thomas (kolejny amerykański weteran, który tworzył w ramach serii *Conan*, *The Avengers* i wielu innych), Herb Trimpe (amerykański artysta znany głównie z prac nad seriami *The Incredible Hulk* i *Wolverine*). Bardzo liczyłem na udział jednego z twórców postaci Sędziego Dredda - Carlosa Ezquerry. W ostatniej chwili okazało się, że po raz kolejny (rok temu miała miejsce podobna sytuacja) nie może przylecieć, ponieważ lotnisko
w Hiszpanii zostało zamknięte z powodu jakiś zamieszek.

Na zakończenie relacji krótki, aczkolwiek istotny komentarz. Społeczeństwo angielskie jest o wiele bardziej, niż polskie „zespolone" z komiksem. Tutaj to naprawdę spory przemysł, fajna rozrywka i część kultury. Natomiast w Polsce nadal przeważa stereotyp, że jest to medium wyłącznie dla dzieci (chociaż nic w tym złego). Gdy czytasz komiks w pociągu spotykasz sie z drwiącym uśmiechem. W Anglii nie spotkałem sie z takim przekonaniem.

Natomiast muszę napisać o jednym minusie – mimo całej świetności tej imprezy i fantastycznej atmosfery, czułem się nieco samotny bez przyjaciół, z którymi rok w rok odwiedzam *Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier w Łodzi*. Zaledwie „liznąłem" londyński konwent. Jeden, w dodatku niecały, dzień nie stwarza możliwości, aby spokojnie wszystko zobaczyć, poznać i pogawędzić z innymi fanami czy chociażby pobyć na większej ilości paneli. Mam nadzieję, że w przyszłym roku jakoś się to zmieni.

Zródło ilustracji:
WWW.LONDONSUPERCOMICCONVENTION.COM

Źródło fotografii:
PRYWATNE ARCHIWUM

Rekwiem dla wampira

Autor: Adam Krupa

- SYLWETKI I SZKICE

Proszę wyobrazić sobie planetę, której niebo rozświetlają promienie dwóch gwiazd starszych od naszego Słońca, gwiazd których żywot powoli wypełnia się. Będąc zapewne w stadium czerwonego olbrzyma, palą one niemiłosiernie powierzchnię planety Drakulon i powodują dramatyczne przemiany w jej naturze. Zamieszkująca ją humanoidalna rasa to Vampiri, istoty obdarzone możliwością zmiany formy ciała w nietoperza i zdolnością latania. Zaraz spróbujemy je zidentyfikować z dobrze nam znanymi wampirami występującymi powszechnie w świecie popkultury, ale to nie do końca ta sama historia.

Vampiri to niewinne istoty, które w swoim naturalnym środowisku stworzyły wyrafinowaną cywilizację i nie potrzebują przelewać cudzej krwi, aby zaspokoić swoje pragnienie. Krwi, bo to nią się w istocie żywią, dostarcza im sama planeta, bowiem płynące na jej powierzchni rzeki są wypełnione po brzegi krwią niczym arterie w żywym ciele. Tak było przez wieki, jednak dogorywające słońca wypalają koryta rzek wielkimi erupcjami materii i zostawiają na dnie suchy popiół. Vampiri nie mają dokąd uciec i giną z pragnienia. W tym momencie na Drakulonie ląduje statek kosmiczny *Arthur Clarke* (z pewnością chodzi o autora *2001: Odysei Kosmicznej*). Członkowie ekspedycji naukowej z Ziemi popadają niespodziewany konflikt z Vampirellą i tak rozpoczynają się jej przygody, dzieje jednej z najbardziej tajemniczych, nieokiełznanych i oryginalnych kobiecych postaci w świecie komiksów (odcinek *Vampirella of Draculon*, *Vampirella* #1). Niewiele wiadomo na temat tego, jak trafiła na Ziemię, wiemy, że opanowała statek pełen zahibernowanych naukowców, odkryła życiodajny płyn w ich żyłach, a posiadając iście kosmiczne 2000 IQ, prawdopodobnie szybko udało jej się opanować technikę lotu i w końcu wylądowała na naszej planecie, w prawdziwym raju dla jej rasy. Prawie zginęła, starając się dostosować do tej rzeczywistości, kiedy to rozbił się samolot, którym podróżowała (*Vampirella* #2). Życie uratował jej lekarz, Tyler Westron, jednak kosztem obcięcia skrzydeł, przez co bohaterka stała się w komiksie bardziej ludzką istotą (*Vampirella* #8). Wkrótce potem musi stawić czoła sługom Chaosu i pierwszemu prawdziwemu wrogowi, którym okazał się Ethan Shroud – jej wcześniejszy wybawiciel i cichy wielbiciel, a tak naprawdę czarnoksiężnik z Salem obleczony w ciało dr Westrona. Tego Salem znanego z literatury grozy i procesów czarownic w XVII wieku. Otrzymujemy tu więc prawdziwie piekielną mieszankę, zwłaszcza, że do tego na długo, jak się później okazuje, włącza się ród pogromców wampirów ujawniony światu jeszcze przez Brama Stokera – van Helsingowie – którego senior, niewidomy i posługujący się siłą swojego umysłu Conrad van Helsing, trafia telepatycznie na emanację życia Vampirelli. Odtąd jej schwytanie i zgładzenie staje się celem jego życia (odcinek *Who serves the cause of Chaos?*, *Vampirella* #8).

VAMPIRELLA
RÓŻNI TWÓRCY
WARREN/HARRIS/DYNAMITE
1969-2013

Vampirella pojawiła się na naszym świecie w 1969 roku od razu na łamach samodzielnego magazynu (WARREN PUBLISHING) o takim samym tytule i bardzo szybko zaczęła zdobywać popularność, na co bez wątpienia miały wpływ jej całkiem ludzkie i bardzo atrakcyjne kształty, ale również formuła samego magazynu. W odróżnieniu od większości komiksów wydawanych ówcześnie w Stanach Zjednoczonych (w charakterystycznym i znanym nam formacie *comic book*), *Vampirella* była typowym magazynem w formacie wielkości około A4 i nie podlegała niesławnemu już *Kodeksowi Komiksowemu* (utworzony przez Stowarzyszenie Wydawców Magazynów Komiksowych w Stanach Zjednoczonych, mający na celu kontrolowanie treści wydawanych komiksów), który skutecznie ograniczał twórców komiksów w zakresie poruszanych tematów (Szyłak 2009). Wydawca *Vampirelli*, James Warren (WARREN PUBLISHING, a później WARREN COMMUNICATION), nie przystąpił do *Kodeksu Komiksowego*, tworząc właśnie formę pisma dużego formatu sprzedawanego w dziale z magazynami, a nie w dziale typowo komiksowym.

Wspomnieć należy, że WARREN od dłuższego czasu wydawał magazyny komiksowe prezentujące krótkie historie grozy takie jak *Creepy* (od 1964 roku) i *Eerie* (od 1966 roku) oraz antywojenny Blazing Combat (od 1965 roku), które mają dziś miano kultowych i są reprodukowane w zbiorczych wydaniach (*Creepy* zostało wznowione w 2009 roku przez wydawnictwo DARK HORSE jako nowa seria).

Vampirella od pierwszego numeru łamała zasady *Kodu*, sam pomysł o rzekach krwi i mieszkańcach pijących krew był w tamtym czasie już wystarczająco kontrowersyjny, do tego dochodziła postać głównej bohaterki, której wdzięki były prezentowane nader odważnie, począwszy od okładki pierwszego numeru, której autorem był sam Frank Frazetta (legendarny artysta-malarz, warto zajrzeć do witryny *frankfrazetta.net*). Okładki tego magazynu, a także innych spod znaku WARRENa, są już legendarne i stanowią jedne z najbardziej rozpoznawalnych dzieł ich autorów. *Vampirella* jest jednym spośród tych tytułów, które nieustannie powracają w nowej odsłonie i pozostają przez dłuższy bądź krótszy czas. Sam magazyn liczył 112 numerów i upadł w 1983 roku, ale bohaterka zakorzeniła się w tej części świata kultury komiksowej na tyle trwale, że kolejni wydawcy chętnie po nią sięgają.

Po bankructwie wydawnictwa WARRENA tytuł ten przejęło wydawnictwo HARRIS PUBLICATIONS, wydając 113. numer magazynu, a później serie i miniserie aż do 2007 roku. Wydania HARRISA „odświeżyły" życie Vampirelli, znacznie wzbogacając wiedzę na temat jej pochodzenia. Autorzy nowych przygód wampirzycy zdecydowanie osadzili jej korzenie w mroku piekielnych otchłani niż na osobliwie pięknej i intrygującej planecie. Drakulon jest miejscem w piekle, zaś Vampirella okazała się córką Lilith, złej istoty znanej z żydowskich ludowych opowieści i wierzeń wywodzących się jeszcze z Mezopotamii, domniemanej pierwszej żony biblijnego Adama, którą różni autorzy horrorów wiążą też z początkami magii i wampiryzmu. Kolejne serie tylko pogłębiały rozbieżności w jej dotychczasowych dziejach. Przez to w końcu okazało się, że Vampirella była tylko elementem rozgrywek prowadzonych przez Lilith, która chciała pozbyć się ostatecznie wampirów pozbawiających ją mocy (miniseria *Vampirella: Revelations* #0–3, 2005).

Vampirella powstała pierwotnie w zamysłach Jamesa Warrena (wydawca) i Forresta J. Ackermana (pierwszy scenarzysta) inspirowanych podobno filmem Rogera Vadima *Barbarella* z 1968 roku (na podstawie skądinąd znakomitego komiksu Jeana-Claude'a Foresta, opublikowanego w 1962, na łamach *V-Magazine* a potem w formie samodzielnego komiksu przez kontrowersyjnego wydawcę Erica Losfelda, 1964). Za twórczynię zewnętrznej formy *Vampirelii* uznaje się Trinę Robbins, która stworzyła komiks o kobietach i dla kobiet żyjących w Ameryce (do najbardziej znanych należy undergroundowy *Wimmen's Comix*, publikowany m.in. przez LAST GASP. Trina poddała swój pomysł rozchwytywanemu wówczas Frankowi Frazettcie, który stworzył pierwszy wizerunek bohaterki. Korzenie magazynu tkwią jednak również w filmach brytyjskiej wytwórni HAMMER FILM PRODUCTIONS znanej z bardziej zmysłowej, jak na tamte czasy, eksploatacji tematyki wampirycznej, estetyki *noir* i *monster cinema* (Frankensteina czy też Mumii).

Początkowo Vampirella pojawiała się na łamach „swojego magazynu" sporadycznie, by z czasem gościć w każdym numerze z pojedynczą historią będącą rozwinięciem toczącej się przez dłuższy czas akcji. W magazynie można znaleźć bowiem kilka krótkich horrorów czy komiksowych opowiastek grozy, mniej czy bardziej udanych, zakończonych zwykle dość przewrotnie (aczkolwiek dla dzisiejszego, wyrobionego czytelnika raczej przewidywalnie). Historyjki te otwiera, zapra-szając do lektury, a także puentuje sama Vampirella (podobnie jak to czynią Wujek Creepy i Kuzyn Eerie na łamach ich magazynów), jednak to nie ona jest ich bohaterką. Poszczególne komiksy prezentują bardzo różny poziom zarówno pod względem treści jak i rysunków. Obie składowe powoli ewoluowały, stając się stopniowo ciekawsze, wciągające i zapadające w pamięć. Wydawca nadał bardzo dużą rangę grafice. W pierwszych numerach nie jest ona szczególnie interesująca, jednak pojawiają się tu klasycy amerykańskiego komiksu tego typu, jak chociażby Reed Crandall (współtwórca serii *Blackhawk*) pracujący wcześniej dla znanego EC COMICS, czy także Neal Adams (twórca legendarnych historii z Batmanem i innymi postaciami z uniwersum DC COMICS), Jeff Jones (podobnie jak Frazetta - legendarny malarz *science fiction* i *fantasy art*), Wally Wood (kolejna postać, o której warto napisać książkę, ilustrator wielu tytułów komikowych), a nawet Barry Windsor-Smith (rozgłos zyskał jako ilustrator w MARELowskim *Conanie Barbarzyńcy*, współtworzył wiele tytułów dla wydawnictwa VALIANT COMICS), autorzy

już zasłużeni jak i dopiero debiutujący na rynku komiksów. Istotną zmianę przyniosły kolejne numery *Vampirelli*, już
z końca 1971 roku. James Warren zdecydował się na zatrudnienie kilku rysowników z Hiszpanii na stałe i od czasu do czasu w charakterze „wolnych strzelców". To działanie miało duży wpływ na popularność magazynu, która zaczęła odtąd wyraźnie rosnąć.

Hiszpanie zaproponowali nową jakość, styl rysunków nieporównywalny z niczym innym w tamtym czasie w Ameryce, pełnych a nawet „przepełnionych" swego rodzaju artyzmem w odróżnieniu od amerykańskich klasyków, których cechowała raczej elegancka prostota kreski. Takie nazwiska jak Luis Garcia Mozos (publikował w *Heavy Metalu* i francuskim *Pilote*), Esteban Maroto (ilustrował *Conana* dla różnych wydawnictw), czy Jose Ortiz (rysownik wydanego w Polsce tytułu *Burton & Cyb*, w ramach *Komiks-Fantastyka*, PRUSZYŃSKI I S-KA, 1992) nie powinny być obce fanom komiksu również w Polsce, a na pewno warto zapoznać się z nimi. Przygody samej Vampirelli pociągnął dalej utalentowany rysownik Jose Gonzales, który razem ze scenarzystą Archiem Goodwinem (ilustrator nie tylko WARRENa, ale wielu tytułów DC i MARVEL COMICS) zdefiniowali ostatecznie wizerunek i nawet charakter Vampirelli (odcinek *Death's Dark Angel*, *Vampirella* #12. Gonzales, Ortiz i Maroto stworzyli najwięcej krótkich form komiksowych w ramach *Vampirelli* i pozostali z tym pismem przez wiele lat.

W obecnej chwili są dostępne na rynku kolejne tomy zbiorczego wydania *Vampirelli*, tomy 1–7. Pięknie wydane, w twardej okładce z obwolutą. W każdym tomie znajduje się 7 numerów magazynu, a więc można przypuszczać, że na całość złoży się 16 grubych ksiąg, które mogą być imponującą częścią komiksowej kolekcji. Ktoś powie, że to starocie i w znacznej mierze będzie mieć rację, jednak mają one urok, któremu trudno się oprzeć.

Dzieje komiksowej Vampirelli fascynują nadal tysiące czytelników komiksów, także nowe serie wydawane przez DYNAMITE ENTERTAINMENT z mnóstwem wariantów okładek tworzonych przez znanych artystów, np. artysty w Polsce bardzo dobrze znanego - Milo Manarę.

Opowieści te odbiegają klimatem od czarno-białego pierwowzoru, są dużo bardziej brutalne i pozbawione mgiełki tajemnicy otaczającej niegdyś bohaterkę. Vampirella rzucana na pastwę demonów nadal nieźle radzi sobie z nimi. Wydaje się jednak, że znacznie lepiej wypada w reprincie starego magazynu niż w komputerowo kolorowanych, zdecydowanie bardziej „masowo" tworzonych historiach.

Bibliografia:

FENNER A., FENNER C., FRAZETTA F. 2001. *Testament: The Life and Art of Frank Frazetta*. Underwood Books.
SZYŁAK J. 2009. *Komiks: świat przerysowany*. wyd. słowo/obraz terytoria.
VAMPIRELLA ARCHIVES, VOL. 1. 2010. Dynamite Ent.
VAMPIRELLA ARCHIVES, VOL. 2. 2010. Dynamite Ent.
VAMPIRELLA ARCHIVES, VOL. 3. 2010. Dynamite Ent.

Zródło ilustracji:

ILUSTRACJA NR 1. Okładka nr 1 magazynu *Vampirella*. Autor: Frank Frazetta. *Vampirella Archives*, Vol. 1, s. 5.
ILUSTRACJA NR 2. Strona tytułowa pierwszej przygody Vampirelli. Autor: Tom Sutton. *Vampirella Archives*, Vol. 1., s. 9.
ILUSTRACJA NR 3. Conrad van Helsing odnajduje nowy cel życia. Autor: Tom Sutton. *Vampirella Archives*, Vol. 2., s. 30.
ILUSTRACJA NR 4. Autor: Jeff Jones. *Quest*, *Vampirella Archives*, Vol. 2., s. 268–274.
ILUSTRACJA NR 5. Autor ilustracji: Jose Gonzales. *Vampirella: Slitherers of the Sand*, *Vampirella Archives*, Vol. 3., s. 316–338.
ILUSTRACJA NR 6. Okładka pierwszego numeru miniserii *Vampirella Strikes*, Autor: Milo Manara, Dynamite Ent., 2010.

Coraz mniej mocy w kioskach

Autor: Dawid Śmigielski

- KRYTYCZNE OKO

Nowa nadzieja

We wrześniu 2008 roku fani *Gwiezdnych Wojen* otrzymali prawdziwą niespodziankę. W kioskach, nakładem wydawnictwa Egmont, ukazał się komiksowy miesięcznik *Star Wars Komiks*. Nie był to pierwszy flirt duńskiego edytora z komiksową formą sagi wymyślonej przez Georga Lucasa. W 1999 roku EGMONT wprowadził do sprzedaży miesięcznik *Gwiezdne Wojny Komiks*, który różnił się od swojego młodszego krewniaka formułą. W każdym komiksie znajdowało się kilka historii. Dłuższe opowieści publikowano w odcinakach, przez co trzeba było czekać miesiącami, aby poznać ich zakończenie. Po jedenastu numerach pismo zostało zamknięte. Redakcja poinformowała, że „formuła pisma nie do końca się sprawdziła – długie historie nie pozwalały Wam na przegapienie nawet jednego numeru, a proste fabuły krótkich opowieści nie wszystkim odpowiadały".

Aby uniknąć losu swojego poprzednika w *SWK* zdecydowano się na publikacje tylko i wyłącznie zamkniętych historii. Nowa formuła odniosła sukces. Do tej pory ukazało się 49 numerów. Na 48 stronach magazynu prezentowane są dłuższe historie, które zajmują cały periodyk jak i krótsze, które wypełniają lub dopełniają miesięcznik.

Wszyscy kupują Gwiezdne Wojny

Sprzedaż pisma okazała się na tyle wysoka, że już w czerwcu 2009 roku ukazał się drugi tytuł prezentujący gwiezdno-wojenne komiksy. *Star Wars Komiks. Wydanie Specjalne* to kwartalnik o objętości 96 stron w cenie 9,99 zł. Na łamach tego tytułu prezentowane są dłuższe – 4 zeszytowe historie. W środku znajduję się także mały plakat. W grudniu 2010 roku EGMONT zdecydował się na uruchomienie jeszcze jednego kwartalnika. *Star Wars Komiks Extra* dysponował objętością 148 stron za jedyne 14.99 zł. Nowa seria tak jak *SWK.WS* prezentowała dłuższe historie, składające się z 5-6 oryginalnych zeszytów. Ponadto w środku znajdował się plakat oraz dodatkowe informacje dotyczące bogatego uniwersum. Dobrą koniunkturę na dzieło Lucasa zaczęli wykorzystywać inni wydawcy. W 2010 roku firma DEAGOSTINI uruchomiła kioskową kolekcję *Star Wars. Kultowe Statki i Pojazdy*.

Magazyn ukazuje się co dwa tygodnie z modelem statku w cenie 34.90 zł (29.90 zł dla prenumeratorów). Do tej pory zaprezentowano już 58 pojazdów. W następnym roku DEAGOSTINI zaczęła sondować rynek w celu wprowadzenia nowej kolekcji. Tym razem miała to być kolekcja pod nazwą *Star Wars. Kolekcja Szachów*. Widocznie polscy fani nie lubią grać w szachy, nawet jeżeli figury przedstawiają ich ulubionych bohaterów, ponieważ produkt ostatecznie nie znalazł się na rynku.

O kawałek tortu powalczyło również wydawnictwo Amber, które kiedyś wydawało komiksy ze świata *Star Wars* (albumy w twardych oprawach), a także książki. Tym razem zdecydowało się na wznowienie książek sygnowanych nazwiskiem Lucasa w formie kioskowej kolekcji.

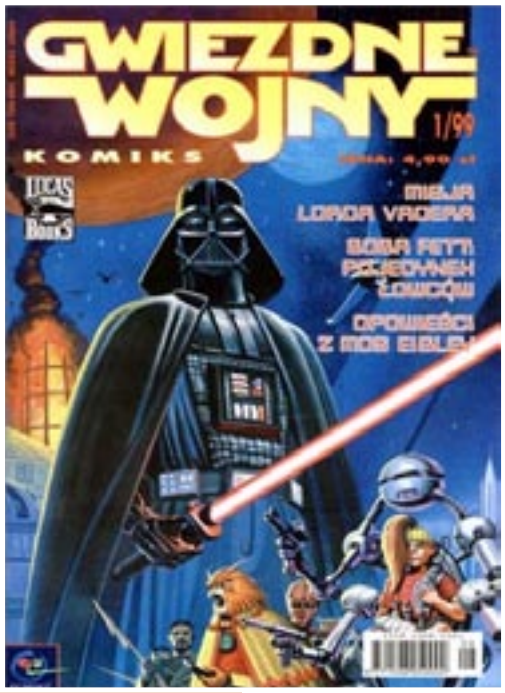

GWIEZDNE WOJNY
RÓŻNI ARYŚCI
EGMONT
1999-2000
2008-NADAL

Było jak nigdy, skończyło się jak zawsze

Na okładce pierwszego numeru *Star Wars Komiks* widniała bardzo atrakcyjna cena – 4.90 zł. Wraz z pojawieniem się piątego numeru (1/2009) cena podniosła się o złotówkę. Kolejna podwyżka miała miejsce już na początku następnego roku, ale była to kwota raczej symboliczna, bo zaledwie dziewięciogroszowa. W styczniu 2011 roku za zeszyt należało już zapłacić 6.50 zł (zwiększył się podatek VAT z 7 do 8%). Ostatnia podwyżka miała miejsce w kwietniu 2012 roku. Cena wzrosła o kolejne 49 groszy.

W dodatku kwietniowy numer był ostatnim ukazującym się w częstotliwości miesięcznej. Przyszły numer ukazał się dopiero po dwóch miesiącach (tryb dwumiesięczny trwa do tej pory). Konkurencja, jaka wytworzyła się w krótkim

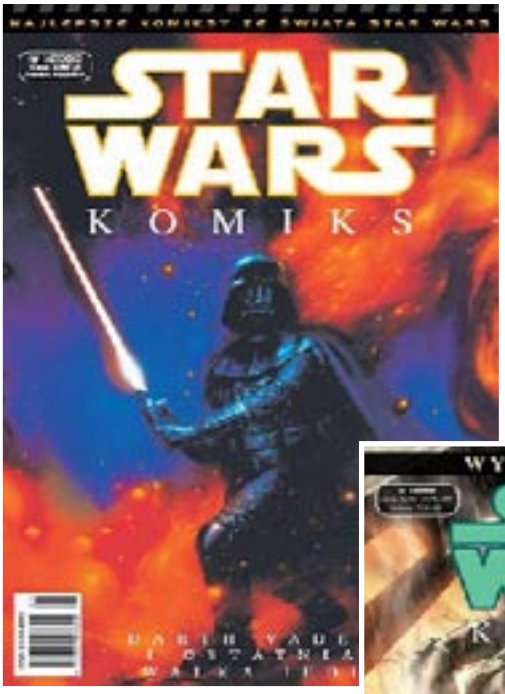

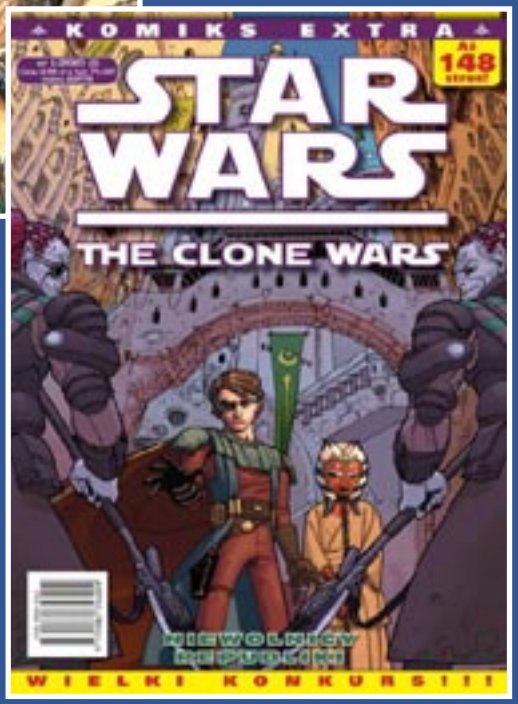

czasie, skutecznie przyczyniła się do zmniejszenia sprzedaży komiksów EGMONTu. Część fanów wolała zbierać dużo atrakcyjniejsze modele pojazdów, aniżeli kiepsko wydane komiksy. Powód przejścia w tryb dwumiesięczny był jeszcze jeden. Otóż powoli kończyły się historie, które można opublikować na łamach pisma. Przynajmniej te dobre historie. Gdyby *SWK* dalej utrzymywał tryb miesięczny, szybko okazałoby się, że nie ma już czego wydać, a tego przecież nikt nie chciał. Ale nie tylko *SWK* spotkał ciężki los. *Star Wars Komiks Extra* zakończył swój żywot wraz z wydaniem siódmego numeru (2/2012). Spadek zainteresowania odbił się też na *Star Wars Komiks Wydanie Specjalne*. W marcowym numerze z tego roku można wyczytać, że kolejny numer tego magazynu ukaże się dopiero za pół roku. Redaktor naczelny pisma, Jacek Drewnowski potwierdził powyższą informację na facebook'owym profilu. Powodem takiego stanu rzeczy, jak sam napisał, jest słaba sprzedaż.

Co Dalej?

Wydawanie komiksów w formie zeszytowej na naszym rynku to nie lada wyzwanie. Jedni uważają, że polski rynek jest za mały na taką formę wydawniczą, inni zaś twierdzą, że tylko tania „zeszytówka" jest w stanie go zbawić. Prawda leży, jak zwykle, po środku. EGMONT wykonał i dalej wykonuje ciężką, dobrą pracę. Do marca tego roku ukazały się łącznie 72 zeszyty w ramach trzech gwiezdno-wojennych tytułów. Ponadto wydawnictwo wprowadziło na rynek kilka serii albumowych (*Mroczne Czasy*, *Dziedzictwo*, *Wektor* i *Rycerze Starej Republiki*) oraz magazyn dla najmłodszych fanów – *Star Wars. The Clone Wars* (pismo z komiksami, łamigłówkami i obowiązkowym gadżetem). Wynik jest naprawdę imponujący. Z drugiej strony nie można nie zauważyć, że *Gwiezdne Wojny* to specyficzna marka mająca fanów na całym świecie. Zagorzały fan kupi wszystko, co ukaże się z logiem *SW*, tak więc spory sukces miesięcznika i jego wydań specjalnych EGMONT zawdzięcza właśnie samej tematyce wydawnictwa. Wraz z pojawieniem się nowych kolekcji komiksy SW traciły na popularności.

Los *SWK* staje pod dużym znakiem zapytania. Czy dwumiesięcznik przetrwa w dotychczasowej formule? Nie wiadomo. Na pewno EGMONT będzie starał się utrzymać swój tytuł na rynku przez najbliższe dwa lata. Przynajmniej powinien. W końcu, już w 2015 roku w kinach zadebiutuje siódma część *Gwiezdnych Wojen* w reżyserii J.J. Abramsa. Nowi fani, nowe komiksy, nowe gadżety, więcej pieniędzy do wydania i zarobienia. Dlaczego EGMONT, i polscy czytelnicy nie mieliby z tego skorzystać?

Zródło ilustracji:
WWW.EGMONT.PL

Idziemy przez las [bez] słów

Autor: Szymon Gumienik

- RECENZJE

Album Państwa M.M. Rostockich jest jedną z nielicznych prac na polskim rynku wydawniczym, które nadają dosłowne znaczenie – formułowanemu bardzo często w okołokomiksowych tekstach – określeniu: „opowiadać obrazami". Nie obrazkami czy sekwencją niemych kadrów, a właśnie obrazami. Odmalowanymi z rozmachem, pewnością swojego artystycznego przeznaczenia, złożonymi w harmonijną i „równą" całość. Jakie zatem określenie pasuje do tego typu publikacji? Czy poza „komiksem" i „powieścią graficzną" istnieją jeszcze jakieś pojęcia odnoszące się do tak synkretycznego gatunku, jakim jest sztuka opowiadania słowem i graficznym wyobrażaniem pojęć, postaw i bytów właśnie. Myślę, że nawet na potrzeby tej recenzji nie warto tworzyć nowych definicji, bo jest to gatunek na tyle otwarty, że przyjmie jeszcze niejeden eksperyment i nieraz zaskoczy nas swoim kształtem (czy to w warstwie ikonicznej, czy językowej).

W taki sposób zaskakują nas na pewno twórcy *Niedźwiedzia, kota i królika* – zaskakują przede wszystkim rozmachem formy i nagromadzeniem znaczeń, które niosą ze sobą interpretacje tej na pozór banalnej historii. Także swoistym podejściem do ikonizacji opowieści – bowiem nie tylko standardowo kadry, ale i dymki z treścią operują tutaj obrazem (czasem nawet dosadniejszym niż słowa). To właśnie różni komiks Rostockich od pozostałych malowanych technikami malarskimi (na czele choćby ze świetnymi pracami Joanny Karpowicz). Obraz jest tu jedynym narzędziem opowieści i dlatego właśnie całość jest tak bardzo spójna i harmonijna. Autorzy w pełni wykorzystują zalety obu warstw (fabuły/scenariusza i jej/jego realizacji), wydobywając przy tym ich potencjał i naturalne, zgrane współistnienie. Mieliśmy już co prawda wiele podobnych zabiegów formalnych w historii komiksu – choćby u nieodżałowanego Moebiusa w *Arzachu* (komiks Jeana „Moebiusa" Girauda wydany w zbiorze pt. *Arzach. Czy człowiek jest dobry?*, EGMONT 2008 - przyp. JSP), ale forma tych dwóch opowieści wyzwala diametralnie różne fascynacje i skojarzenia u czytelnika. U francuskiego twórcy będzie to bardziej pierwotna, wręcz instynktowna, wikłająca się w wiele znaczeń psychodeliczna opowieść, u Rostockich to raczej zgrabna i inteligentna bajka o ludzkich przywarach i dążeniach. Nie znaczy to jednak, że polscy autorzy nie pozostawili czytelnikowi przestrzeni interpretacyjnej. Myślę, że furtek jest tu wiele, a każdy czytelnik otworzy swoją własną i odczyta opowieść na swój sposób. Paradoksalnie jest to tym bardziej pewne i możliwe, im bardziej komiks złożony jest z jednoznacznych, archetypicznych wręcz tropów. A w tym przypadku mamy tego sporo (np. bardzo dosłowne nacechowanie zwierząt ludzkimi i konkretnymi przywarami [antropomorfizacja], wprowadzenie motywów drogi i poszukiwania świętego Graala [tutaj: świętego Grzyba] czy rozprawienie się z grzechem, ludzką interesownością i niebezpieczeństwami wynikającymi z wolnej woli). Mając do dyspozycji oswojony materia i dobrze znane narzędzia, jesteśmy po prostu odważniejsi i bardziej skorzy do eksperymentów. Nieprawdaż?

NIEDŹWIEDŹ, KOT I KRÓLIK
MARIA I MICHAŁ ROSTOCCY
KULTURA GNIEWU
2012

U Rostockich jest podobnie – bierzemy znane od wieków ludzkie zachowania, kulturowe projekcje oraz zdefiniowane już motywy i lepimy z nich swoją własną opowieść oraz własną interpretację świata przedstawionego.

Wystarczy tylko wejść do lasu…

Pod pewnym względem komiks Rostockich przypomina klasyczne bajki Krasickiego czy Ezopa, silnie zantropomorfizowane, pełne przywar i zawsze kończące się zgrabnym morałem oraz wskazaniem odpowiedniej drogi tym bardziej opornym (edukujące te mniej rozwinięte jednostki poprzez przeniesienie znaczeń na znane wszystkim łono natury i jej wytwory). Jednak na tym kończą się podobieństwa, bo bajka o agresywnym niedźwiedziu, kocie alko-

holiku i niezbyt miłym króliku z nieodzownym papierosem w łapie to nad wyraz ciemna, miejscami brutalna, opowieść dla dorosłych. Może i kończąca się morałem, ale nieoczywistym i nie dla wszystkich, będącym jakby obok całej historii – bo i sami bohaterowie idą własną drogą, z jasno określonym celem i niechęcią do uczenia się czegokolwiek i od kogokolwiek. Nie dla nich morały i wyciągane z gotowych sytuacji wnioski, bo nawet jeśli otrzymują w końcu coś ważnego od tego niepojętego i nieogarniętego rozumem absolutu, to i tak idą dalej przed siebie, a świat trwa w swoim i ich wymiarze poza nimi. Puenta jest, ale już na drugim planie… Poza nami?

Prócz tej cudownej plastyczności, celowo ściemnionej pastelowymi barwami (chyba specjalnie dla mnie), użytej techniki oraz sposobu prowadzenia fabuły komiks wyróżnia się czymś jeszcze. Zwraca uwagę szczególna sekwencja kadrów i ich dokładne rozplanowanie na planszach, a co za tym idzie także pewna statyczność przedstawianych zdarzeń i wrażenie uchwycenia ich w jak najbardziej doskonałe wyobrażenia. Kadry są do tego stopnia uporządkowane i odmalowane, że z dokładnością do każdego szczegółu śnią mi się po nocach. Czyżby aż tak ta historia (czy jej forma) działała na podświadomość? Być może!

Niedźwiedź, kot i królik to piękny album. Można „oglądać" go wielokrotnie, podobnie jak inne albumy prezentujące szeroko pojętą sztukę. Choćby tylko dlatego warto mieć go na swojej półce.

Zródło ilustracji:
WWW.KULTURA.COM.PL

Zaginanie komiksowej rzeczywistości

- RECENZJE

Autor: Szymon Gumienik

Dawno nie bawiłem się tak dobrze, czytając komiks! Wyznanie to, na pierwszy rzut oka kontrowersyjne i niosące ze sobą ciężar prowokacji, w rzeczywistości może okazać się całkiem niewinne. Biorąc bowiem pod uwagę awanturniczą historię, bohatera z krwi i mięsa oraz tę niepowtarzalną atmosferę komiksów lat 80. i 90. XX wieku, zrozumiemy, że innej opcji być nie może i że każdy świadomy czy nieświadomy czytelnik komiksów przy lekturze *Człowieka Paroovki* po prostu będzie bawił się tak dobrze, jak tylko potrafi bawić się każde dziecko (chociaż trzeba przyznać, że ostatnimi czasy bywa różnie z dziećmi i ich zabawami).

Komu zawdzięczam tę chwilę beztroski? Dwóm całkiem młodym panom – jednemu bezpośrednio, drugiemu trochę mniej (na płaszczyźnie podświadomej, gdzie barwy kojarzone są np. z emocjami). Obaj dorastali w magicznych latach 80., czyli w czasach Polskiej „Republiki" Ludowej, i chyba dlatego właśnie tak dobrze odebrałem zdystansowany sposób mówienia o naszej przeszłości i współczesności. Do tego okresu nawiązuje też sama technika i forma rysunku – gruby kontur, „kreskówkowa" stylizacja postaci czy bijące po oczach, żywe kolory. Wszystko razem daje wrażenie typowych dla pierwszych lat „nowej Polski" zachodnich animacji, które wszyscy w wieku pacholęcym oglądaliśmy z wypiekami na twarzy. Zatem powrót do przeszłości gwarantowany!

Twórcą „Parówki" jest Marek Lachowicz, który doskonale go narysował i uwiarygodnił psychologicznie – bo czy można wyobrazić sobie inne zachowanie bohatera zbudowanego z parówek, niż pełne luzu i dystansu podejście do życia, szelmowski uśmiech zdobywającego piękne kobiety cwaniaka (jakkolwiek absurdalnie to zabrzmi)? W dodatku to postać bardzo barwna – ten wyświechtany frazes dzięki Tomaszowi „TFJK" Kuczmie, który z wielką fantazją pokolorował świat Gorących głów, zyskuje tu nowy, dosłowny wymiar. A jeśli jesteśmy już przy wymiarach i zamieszkujących je bohaterach, to nie możemy pominąć dość ciekawego zabiegu autora, który korzystając z pomocy Zaczarowanego Ołówka (sic!), uświadamia Parówkę, kim tak naprawdę jest i w jakiej rzeczywistości się znajduje. Dzieje się to akurat w połowie historii, do której ciąg dalszy pisze już jakoby nowa sytuacja wygenerowana przez owe uświadomienie i wynikające z niego konsekwencje. Blisko tu już do interaktywności papierowego medium (pośrednio łapie się na nią także Czopek Piotrek, wprowadzający nas na pierwszych planszach w historię Gorących głów). Wiedza nadana bohaterowi i możliwości, jakie ze sobą niesie, bardzo szybko przeradzają się w czyn, co w konsekwencji prowadzi do osiągnięcia zamierzonych przez niego i oczekiwanych przez czytelników celów. Umiejętność Człowieka Parówki staje się niejako supermocą, czymś na kształt anomalii, która łamie istniejące w świecie przedstawionym i określone *ad hoc* prawa oraz reguły postępowania. Wyjście przez bohatera z ram komiksowej konwencji odbywa się tutaj zarówno na poziomie metaforycznym, jak i dosłownym, by nie powiedzieć: „rzeczywistym" – np. ukazanie czytelnikom prawdziwego trzeciego wymiaru czy zaginanie komiksowej rzeczywistości (czyt. kartki). Swoisty postmodernizm? Szukanie nowych rozwiązań w opowiadaniu słowem i obrazem? Zabawa z czystą formą? Przypuszczam, że wszystko w jednym, a w każdym z tych elementów czuć prawdę i naturalną chęć dostarczenia „dobrej" rozrywki odbiorcy.

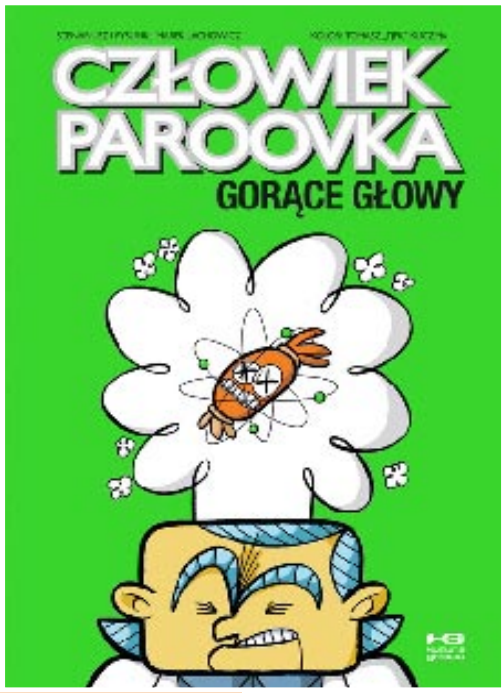

CZŁOWIEK PAROOVKA:
GORĄCE GŁOWY
MAREK LACHOWICZ,
TOMASZ „TFJK" KUCZMA
KULTURA GNIEWU
2012

Dużą zaletą komiksu jest także absurdalny, celny i miejscami „ironiczno-polski" humor. Swoboda, z jaką autor podaje nam gagi i żarty słowne, sprawia, że my również – niczym nieskrępowani – możemy się śmiać do woli z innych i siebie samych. Takie zdrowe, dziecięce podejście do życia. I jest coś jeszcze, co daje nam ogólną satysfakcję z lektury – sama fabuła, która z jednej strony

opiera się na typowym dla tego gatunku schemacie, ale z drugiej, wraz z humorem i proponowanymi przez autorów rozwiązaniami formalnymi, zupełnie od tego schematu się odżegnuje.

Parówka jak każdy superbohater walczy przeciwko nieprawidłowościom naszego świata, ale w sposób zgoła odmienny i z innymi przeciwnikami, do jakich przyzwyczaiły nas historie z intrygą i superzłoczyńcami w tle. Poza LPR (Ligą Pogromców Robotów), nasz bohater musi rozprawić się z nauczycielem chemii, mgr. Szczutem, który pragnie władzy absolutnej na poziomie lokalnym – zgodnie z ideą „myśl globalnie, działaj lokalnie". W dwujęzycznym III Liceum Ogólnokształcącym, którego dyrektor zawsze mówi w dwóch językach (wyobrażacie sobie taką sytuację w życiu codziennym – czysty surrealizm), chce przejąć ten najwyższy stołek. Aby to osiągnąć, nie cofnie się przed niczym. Dla tej idei poświęci nawet swojego syna, zmieniając go w „Człowieka-Żelazko" (niestety nazwa Iron-Man jest już zastrzeżona). Po dramatycznym finałowym pojedynku między Parówką a Człowiekiem-Żelazko, który *nota bene* użył „parówki" (pary), aby uwędzić swojego przeciwnika, wszystko dobrze się kończy (choć w zasadzie to zależy od nas i od tego, ile jesteśmy w stanie poświęcić). Jeśli się udało i pomogliśmy, poznamy happy end tej historii – wrogowie się ściskają, a w nagrodę za przejście na dobrą stronę mocy Człowiek-Żelazko otrzymuje od Parówki Prasolot, wypożyczony w międzyczasie od Papcia Chmiela (ach, ten wspomnień czar!).

Na koniec robi się tak swojsko i sentymentalnie, że powrót do lat dzieciństwa, zeszytów z Tytusem i pierwszych na polskim rynku edycji komiksów zachodnich, wydaje się bardzo możliwy. Wystarczy wpakować się z Żelazkiem do Prasolotu bądź z Parówką kolejny raz uratować osiedle. Komiks do pochłonięcia na raz, razem ze wspomnianymi wyżej przystawkami i wyskakującymi ze środka deserami. Chciałoby się powiedzieć: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy", ale chyba nie wypada w tym kontekście …

Zródło ilustracji:
WWW.KULTURA.COM.PL

Autoportret / cienkopisy + komputer = grafika

Kropki Kreski – Paweł Zawiślak

ur. 18.09.83 w Warszawie. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, rocznik 2008. Introwertyk. Nonkonformista. Obsesjonat. Pielgrzym. Sensualista. Szaleniec.

kropkikreski.blogspot.com

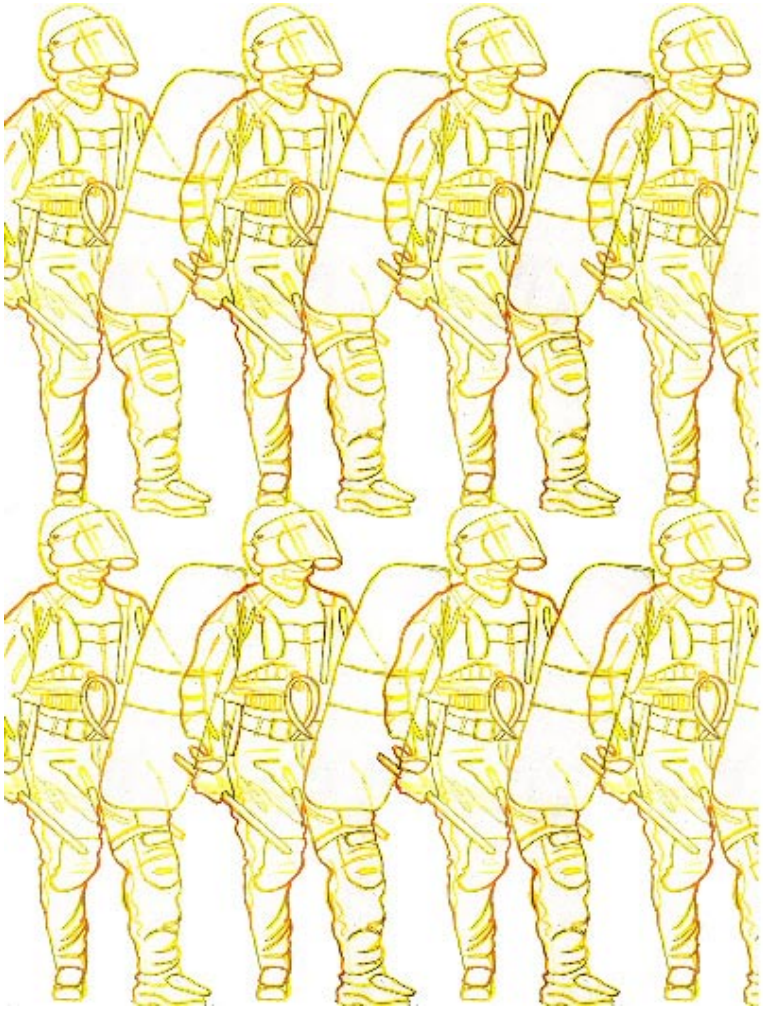

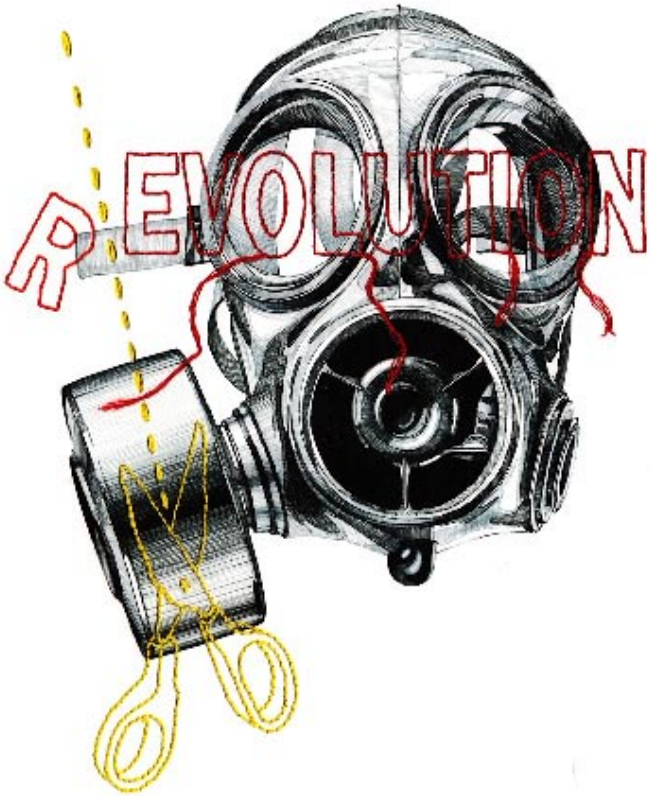

Bunt, praca z serii dla magazynu „House" / technika mieszana

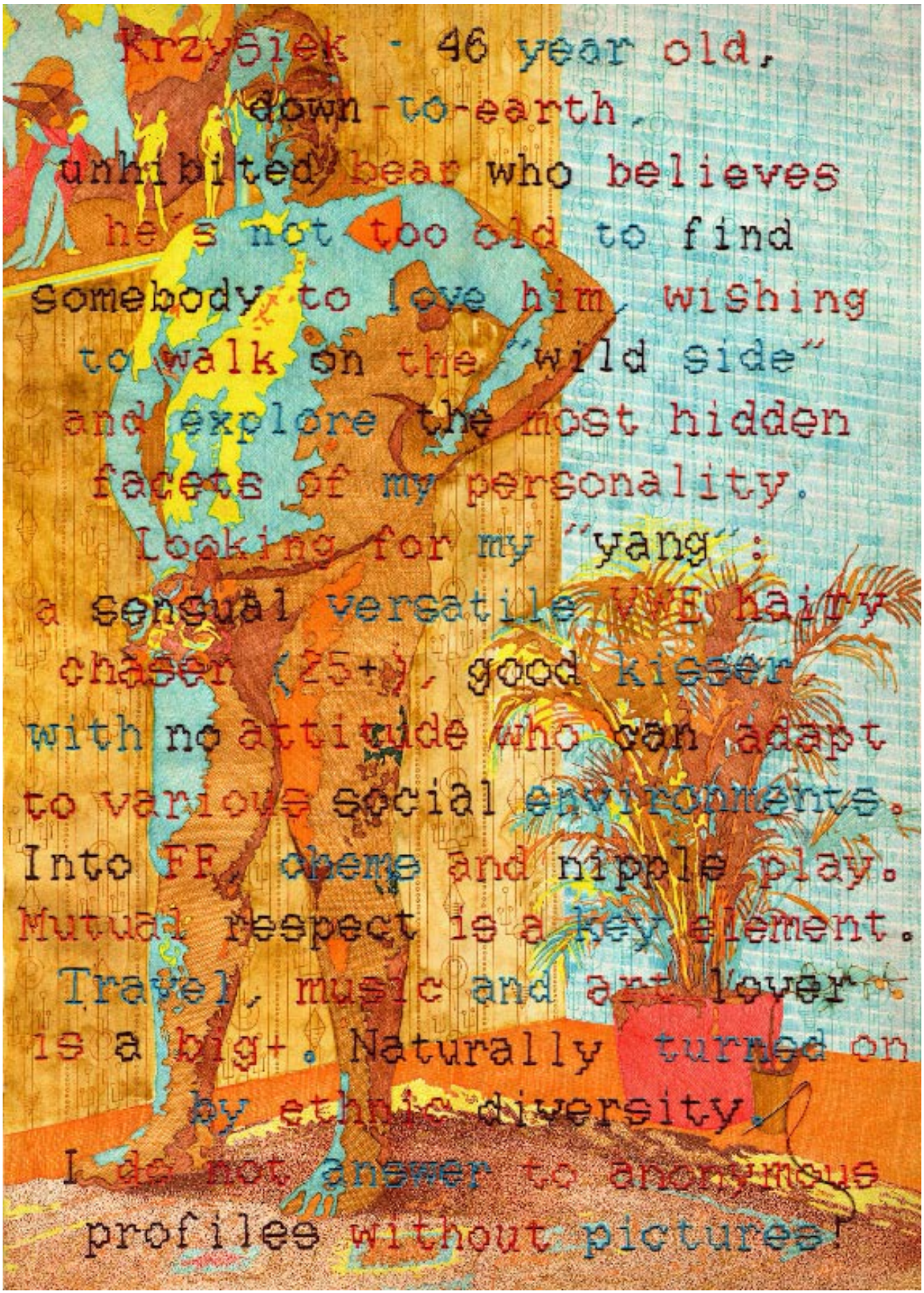

GayRomeo profil, między prawdą a fikcją / cienkopisy, mazaki, farba, nitki

Kochaj Się Takim Jakim Jesteś / cienkopis

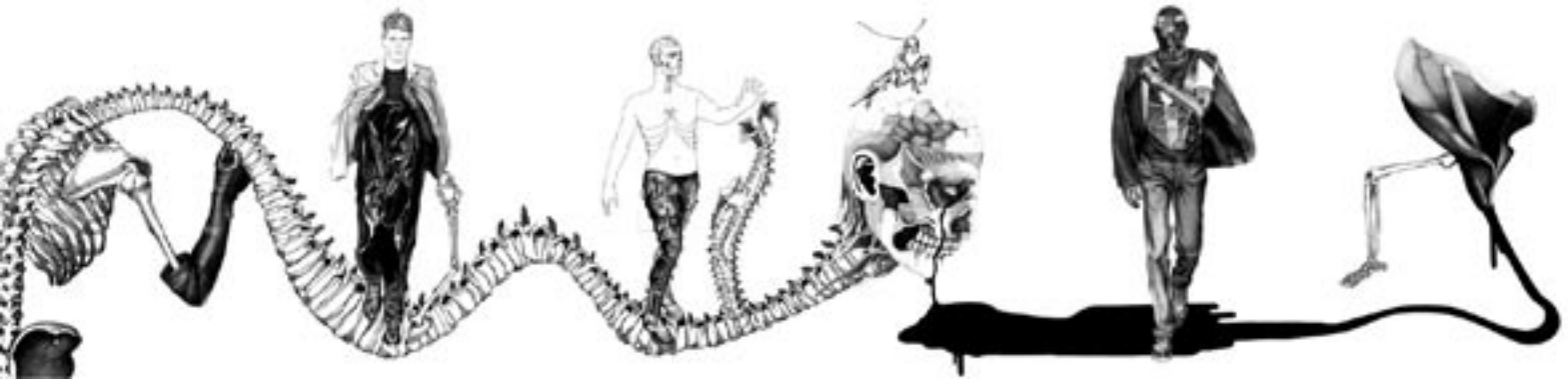

Tristis est anima mea usque ad mortem, ilustracja Mody / cienkopisy, flamastry

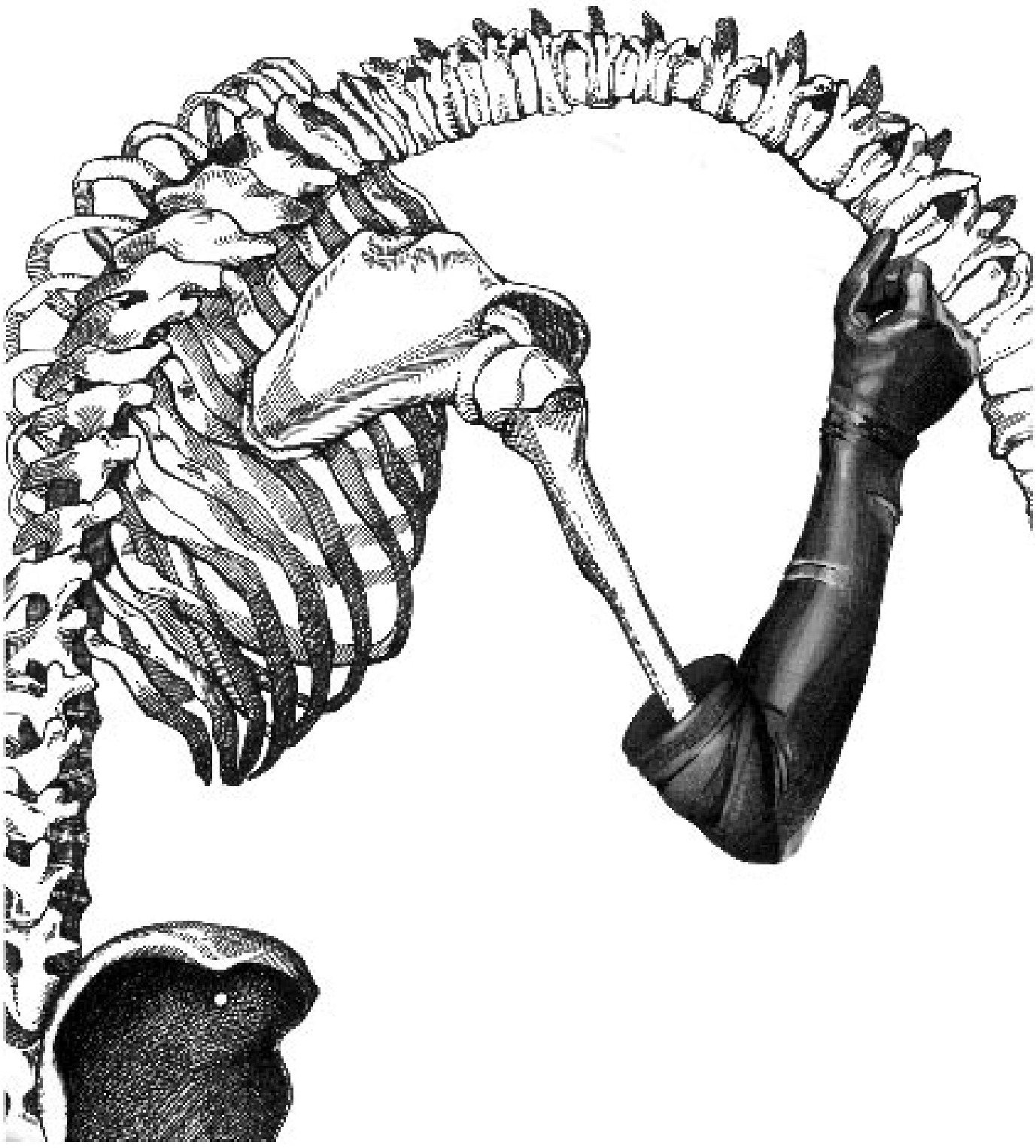

Tristis est anima mea usque ad mortem, ilustracja Mody / cienkopisy, flamastry / fragment

Alegoria marności świata/ technika własna na papierze, 42 x 59,4 cm

Martwa Natura / cienkopisy, mazaki

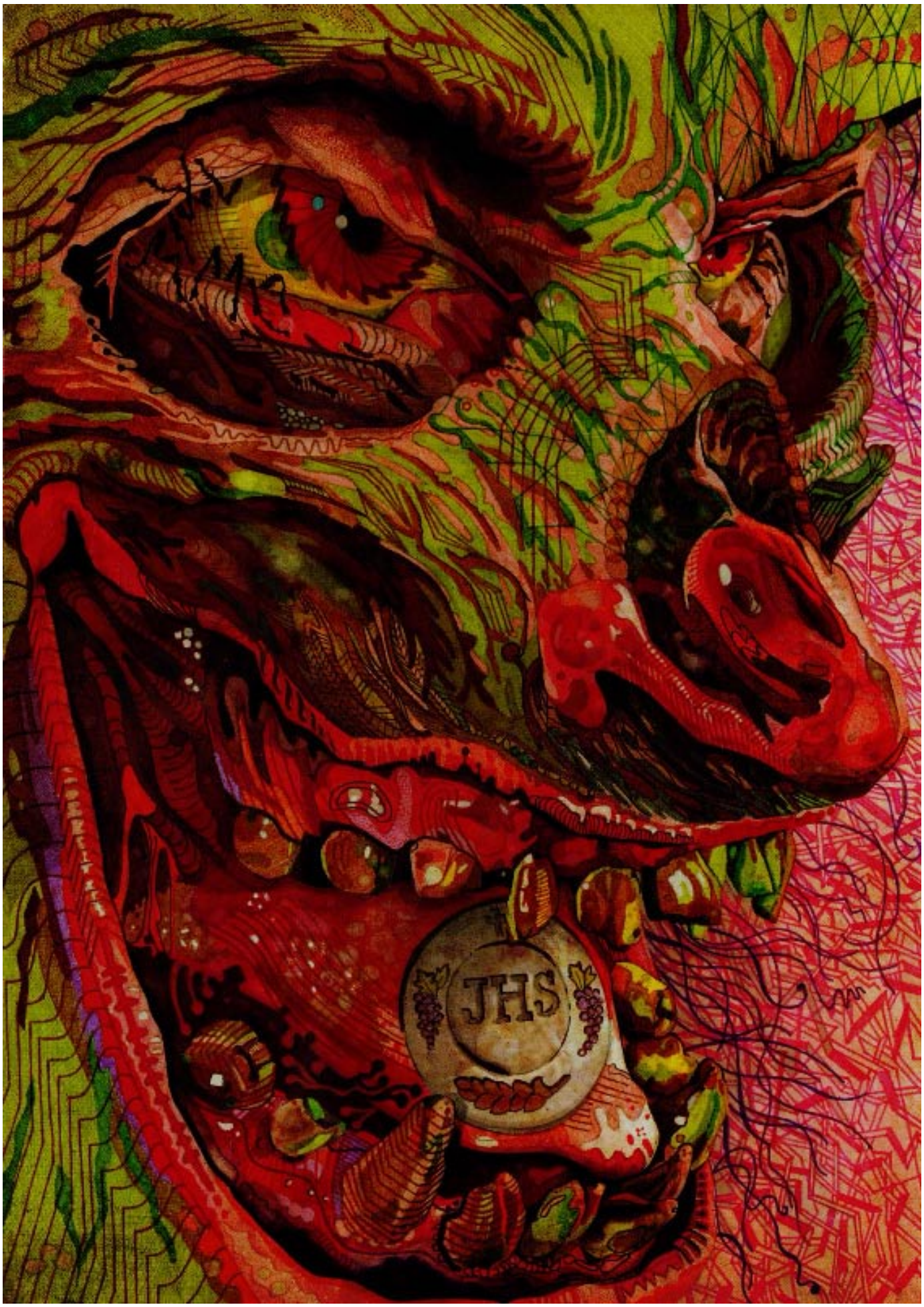

Polska Mentalność, albo Oliwa do Ognia / cienkopisy, komputer

Późna starość, albo Mycobacterium leprae / cienkopisy, komputer

Polscy Artyści Makijażu Noszą Forda / cienkopisy, mazaki, kredki, farby, komputer

Praca należąca do *Tryptyku modowego* przygotowanego na konkurs GrafEx magazynu „Exklusiv", cienkopisy, komputer

Praca należąca do *Tryptyku modowego* przygotowanego na konkurs GrafEx magazynu „Exklusiv", cienkopisy, komputer

(Za *Tryptyk* Paweł otrzymał nagrodę specjalną w siódmej edycji konkursu GrafEx 2011 organizowaną przez magazyn „Exklusiv" w kategorii „Tryptyk modowy")

Ilustracja mody (Outfit by Maldoror from „The Accuser” collection Fall-Winter 2011/2012) cienkopisy / flamastry, komputer

Lech Krzysztof Landecki

gdańszczanin, urodzony w Kołobrzegu w maju 1965 r. Zadebiutował tomem *DRZAZGI POD POWIEKAMI* (PiT, Kraków 2000). Jesienią 2008 r. wydał drugą książkę *NIEWYMOWNE* (Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków). Współzałożyciel Inicjatywy Poetyckiej ALMANACH (1993-1996). Publikował m.in. w: „Literach", „Autografie", „Protokole kulturalnym", „Poboczach", „Tyglu Kultury", „Migotaniach, przejaśnieniach", „Toposie", „Śladzie", polonijnym „a-ha!" (Vancouver), prasie lokalnej oraz antologiach, np. *GALERA POETÓW TRÓJMIASTA* (Gdańsk 1999). W serii „Biblioteka rękopisów„ GTPS kserotomik *Usta bez strun* (Gdańsk 1999). Zdobył m.in. nagrody i wyróżnienia w konkursach: „Kujawska Lira" (1998), „Autoportret jesienny" (1999), „Połowy poetyckie" (2003, 2004, 2007).

DEKOLTY LAUREATEK

dekolty
to argument koronny
nieskazitelny walor
literackich rautów
gal pokonkursowych gdzie
wyrazistość wierszy
gubi się w koronkach
niepasteryzowana rozkosz
licealnych pępków
na przypudrowanych noskach
kwitnie powab burzy
w ostatnim rzędzie
zamiast laurów
liczę guziki kolczyki
fikuśne pieprzyki
omijam byłe narzeczone
zadowalam haustem
fermentu i mam
za swoje gastryczne
alimenta uiszczam
na zapleczu
upojnych piekieł
ślęcząc

ODMOWA

nie wiem jak
to robisz że
nie widzę jak
patrzysz w mój
dekolt jak inni
jedyny który
mi zakazał
tego argumentu
powyżej pasa
nie potrafię
ci odmówić
wodzić na
rozproszenie
bo tego nie
wykorzystujesz
więc wysłuchaj
mych modlitw
zachłannych
o
nieposłuszeństwo

REZON czyli fałszujący puzon

choć zaszywałaś
me kieszenie podarte
od perwersji
i kładłaś
dłoń na karku
aż prostowałem
z dumy postawę
i trąbę
na deser
błazenadę z bąbelkami
sączyliśmy
przez słomkę
to zamiast
rezolutnie ćwiczyć
kontrapunkty
dziś na mnie
ćwiczysz bukiet
fanaberii

ŻYCIE JAKO TRAGICZNA CHOROBA POWIELANA W POZYCJI TRYWIALNEJ

elementarny płacz
Zapasiewicza
na placu Bastylii
który umiera prędzej
niż później świadom
perfekcji śmierci
gnije poszukuje
nie podziwia
blichtru opery
po drugiej stronie
Kolumny Lipcowej
nie klęka
w najbliższej
świątyni a pyta
odarty do szczerości
na sekretarce
nagrywa: *„Nie*
interesuja mnie
żadne wiadomości
które by chcieli
Państwo zostawić”
na odwrocie
karty choroby
przedsmak wypominek
głuchy telefon
od Absolutu
miauczy

Rozrachunek

już nie zaczynam
od poezji nie
zasłaniam za
podwójną gardą
metafory
tomiki służą
jako podstawki
pod kufel
pienistego
a wiersze leżą
obok kartofli
w kuchni
niespożyta ich
przydatność
w oparach tłuszczu
dominuje proza
zabieram się za
żurek zamiast
białego wiersza
surowe prawo głodu
nakłuwam białą
kiełbasę
to podstawa
syty poeta
zamiesza
przeżuje kartkę
zamerda nie
napisze
ani litery
ponadto

KAPSLE

mieć to wyryte
na grobie:
w tym barze gdzie
nie uświadczysz
kobiety
byłeś
najprawdziwszy

Rafał Skonieczny

(ur. 1983) poeta i muzyk, autor arkusza poetyckiego *Antologia hałasu* (2007) oraz książek z wierszami *Dzikie strony* (2010) i *Przeniesiony człowiek* (2013). Wokalista i gitarzysta Hotelu Kosmos, z którym wydał płyty *Wszystkie stare kobiety miasta* (2008) i *Weird Polonia* (2012). Przebywa nad polskim morzem.

Twój ruch

Tramwaj w zajezdni
jest muzyką wciąganej taśmy.
Kobieta, która prowadzi wózek
ma różową spódniczkę.
Chłopiec w zielonej koszulce
z numerem 10 kopie piłkę.
Przebiega przez skrzyżowanie
Sienkiewicza i Słowackiego.
Koła o szyny to skrzypce
dziewczynki z Szerokiej.
Fikus w oknie chciałby zapłakać,
gdyby mógł zapłakać.
Kobieta w bluzce (czarnej)
oraz spódniczce (czerwonej).
Czarne włosy, czarne okulary
(godzina 19:28), idzie
po miłość już dawno nieważną.
Omija dziewczynę,
która rozmawia przez telefon,
w drodze od Polo do Lotto,
od Lotto do Polo.
Powiedzmy, że pijak przechodzi,
za nim kobieta z zakupami.
Idzie szybko, jak na mężczyznę
pijanego.
Idzie wolno, jak na kobietę
pruderyjną,
jaką niewątpliwie jest (
ekologiczna torba cię zdradza).
Czerwone buty (czarne włosy),
mops na czerwonym sznurku.
Za nimi białe bluzeczki,
w rękach żółte kurteczki.
O, przysiadają na poręczy.
Za nimi dwie kobiety,
na pewno więzy rodzinne.
Obie mężatki. Nieszczęśliwe (
nieszczęśliwość was zdradza).
Białe bluzeczki się śmieją
i prześwitują. Czerwone rajstopy
znikają za czerwoną zajezdnią.
Torebka foliowa z naklejoną ceną
frunie wzdłuż torów, tak.
Dziewczyny na murku,
obie dłubią w zębach,
jedna również w nosie.
Amant w czerwonych trzewikach
przemyka jak folia.
Dziewczyny z poręczy,
szepty i śmiechy.
Podchodzi do nich chłopak.
Podchodzi do nich. Chłopak.
… ciąg dalszy nie nastąpi.
Zimno coraz bardziej.
Spod Polo wychodzi Bachus.
Zaczyna się czas obfity
w wydmy.

19-06-2005, 19:28-19:45, niedziela, balkon na Słowackiego, Toruń

Ego-rcyzmy

Karolina Natalia Bednarek

Moja przyjaciółka powiedziała kiedyś: „Życie jest podłe”. Jej opowieść o nieszczęśliwej relacji z kimś, kogo nie może mieć, kogo i tak nie kocha żona, pozwoliła mi się z nią zgodzić. Przytaknęłam, nie znajdując innego rozwiązania. Chwilę potem dodała: „Ale i wspaniałe! Dziś zastanawiasz się, co dalej, jak przetrwać, a jutro ktoś potrąca cię niechcący na ulicy i okazuje się, że to miłość twojego życia”. Przytaknęłam. Żadne to odkrycie, że codzienność bywa przewrotna. To, co wydaje się pewniakiem, zamienia się w mrzonkę, a z beznadziei może wyciągnąć scena pisana jak z filmu.

Siedziałam na dworcu. Zaopatrzona w najnowszy magazyn mody na takie podróżnicze przejrzenie i Marlboro Light. Naprzeciwko mnie para Wielkich Brązowych Oczu. Znudzona spojrzałam na zegar, na pijanego staruszka, któremu pewien sokista uprzykrzał letarg w poczekalni. Pomyślałam, że brakuje mi wspólnych podróży, podczas których zawsze kogoś wybawiał z opresji – to matkę z dzieckiem, to niewidomą Matyldę – podróżniczkę z identyfikacyjnym pudełkiem na szyi. Westchnęłam – czas ruszyć do pociągu.

W przedziałach tłok. To dziwne w tym „nieświątecznym” czasie. Ruszyłam w poszukiwaniu wolnego miejsca. Tu nic, tu nic. Przypomniało mi się, jak jeździliśmy razem na próby do teatru. On tam grywał. Także była wtedy zima. Patrzyłam na niego z takim zachwytem – zawsze. Miał w sobie tyle odwagi, energii i chęci, by robić wszystko, wszystko i więcej. Raz nawet z powodu mrozów mieliśmy problem, by wrócić do domu. On rozwalił nogę na scenie, moje nogi marzły przy minus do nieskończoności. Poruszył niebo i ziemię, żeby nas ktoś stamtąd zabrał – łącznie z wierutnym kłamstwem, jakobym była w ciąży. Nadjechało

życie i cała reszta

jednak żelastwo, ale bez ogrzewania. Na stopy wsadził mi swoje rękawiczki, imitujące łapy Myszki Miki.

Jest wolne miejsce. Pytam Wielkie Brązowe Oczy, czy można. Przytakuje i wyrywa się do bagażu, co by go umieścić na półce. Ruszamy. Wkładam słuchawki do uszu, wyciągam gazetę. Śmieję się w duchu z kolorystyki naszych strojów. Widocznie ja tak jak i mój współpasażer lubimy wszystkie odcienie szarości. Co chwilę patrzę za okno. W przerwie pomagam sąsiadowi doprowadzić do użyteczności uparty pojemnik na śmieci. I tak, bez większych nadziei, mija podróż. Przyłapuję Wielkie Brązowe Oczy na gapieniu się, zaczynam się zastanawiać, czy wypisać im mandat także za wiercenie? Piętnaście minut przed moim przystankiem wyciągam z uszu słuchawki. Majstrujące od jakiegoś czasu przy aparacie telefonicznym ręce podają mi mały ekranik. A na nim czytam: „Nie pomyśl, że to głupie. Całą drogę nie daje mi to spokoju. Mogę Cię prosić o numer telefonu"? Chwilę potem gadamy, tydzień później jemy kolację. Po dwóch tygodniach ma dla mnie kupiony, miesiąc za wcześnie, prezent urodzinowy. Tak, życie bywa przewrotne – szczególnie, że się pewnie nigdy więcej nie zobaczymy, bo ktoś musi leczyć się z posłuszeństwa wobec Ego, które za drogę życiową obrało sobie „bycie żoną męża".

Natomiast moja przyjaciółka rozpoczęła romans z totalnie zapracowanym facetem o wyglądzie Adonisa. Ona ciągle zajęta doktoratem, publikacjami, odczytami – nie ma za wiele czasu. On – prowadzi własny biznes (show) i ledwo sypia. O seksie tylko gadają. W nocy, nad ranem, że on by jej „to", a ona mu „tamto". I tak po pełnej sesji zasypiają w dwóch osobnych łóżkach, nie wiedząc nawet, gdzie te kanty łóżek się znajdują – w której z dzielnic Torunia.

Inna przyjaciółka – niezwykle zaradna pani na stanowisku. Sama wyznaczyła zasady. Oddała coś starego, szuka czegoś nowego. I tak, dzięki swojemu sprytowi, ma już obiekt zainteresowań. O seksie też tylko prawią, snują, deliberują, ale wszystko w wiadomościach nie przekraczających pojemności ekraniku w komórce.

I zaczynam się zastanawiać, co z tym światem, skoro nie mamy czasu nawet sobie „pobrykać", bo każdy biegnie jak ten goniony przeszłością, a może i przyszłością bohater *Samotności długodystansowca*. Zostawiamy bliskie relacje, odrzucamy fajnych ludzi, bo projekt, bo nadgodziny, bo kasa, kasa, kasa. I kiedy przychodzi noc możemy się przytulić jedynie do koca. Czy to daje satysfakcję? O miłości śnimy, myślimy w wolnej chwili, podczas stania w korku. Bliskość relacji damsko-męskich zastępują nam „lajki" na Facebooku, smsy i maile, w których to rozwijamy swoje fantasmagorie, w konsekwencji czego tworzy się niezła beletrystyka. Czy my się boimy o swoją emeryturę? Istotnie, sytuacja w kraju nie jest pocieszająca. Ale może zacząć myśleć o budowaniu relacji aż do emerytury? Bo w końcu nic nam nie zostanie, nawet ktoś, kto będzie pił z nami „herbatę bez herbaty". Chyba, że wykorzystamy obszerną listę kontaktów i zaczniemy obdzwaniać z pytaniami: „kto samotny?" i „czy z uwagi na dawną współpracę nie można by się zewspólnić?". Dobrze, że mam chociaż czas na przyjaciół. Właśnie! Inna kochana znajoma – sama robi kremy do twarzy i stara się ze swoim narzeczonym o dziecko! Ergo? Można mieć czas. Życie bywa naprawdę przewrotne.

Przestrzeń intymna

Iwona Stachowska

Kto z konieczności lub z zamiłowania podróżuje środkami transportu zbiorowego (nie bez kozery zwanymi „środkami zbiorowej komunikacji"), dobrze wie, jak pokaźny bagaż historii i doświadczeń, zdobytych zarówno metodą tzw. „gumowego ucha" jak i mieszczących się w kategorii kontaktu bezpośredniego, można zabrać ze sobą w domowe pielesze.

Wiadomo, że „czas wolnopłynący" trzeba czymś wypełnić. Spoiwa są różne. Ostatnio padło na Oskary (skądinąd znakomity środek łączący obce elementy). W wigilię nocy oskarowej wszyscy w przedziale typowaliśmy i obstawialiśmy, kto zasłużył, komu się należy, kto otrzyma i dlaczego. Dyskusja była zażarta, szybko zboczyła z wątku głównego, utrzymując się jednak w klimacie „frywolno-filmoznawczym". Ktoś coś komuś polecił, ktoś się od czegoś odżegnywał. Z ust niepokornego młodzieńca padł zadziorny komentarz dotyczący produkcji *Nieulotne* Jacka Borcucha, który określił mianem „filmu o różnych rodzajach dyszenia". Ile treści zawiera się w tej opinii? Nie wiem, bo filmu jeszcze nie widziałam, więc do wypowiedzi współpasażera ustosunkować się nie mogę, ale zachowałam ją w pamięci jako element sytuacyjnej anegdoty.

Po raz kolejny okazało się, że kino to temat uniwersalny i mimo wszystko bezpieczny. Bezpieczny, bo nieco oswojony, dający się ubrać w słowa, rozłożyć na czynniki pierwsze, przeanalizować, zinterpretować, zakomunikować, przeżyć indywidualnie i zbiorowo. Jest jeszcze kilka takich obszarów, po których chętnie podróżuję: literatura, sztuki wizualne, media, nauka. Ale jest też obszar, którego opisać nie potrafię i nie chcę, wobec którego powściągam analityczne skłonności, do którego semantyczne kategorie nijak nie przystają i to właśnie z tego powodu zapewne nie zagoszczę w roli recenzentki w dziale muzycznym.

w użyciu

Gdy pracowałam z młodzieżą licealną, drogą przez mękę były dla mnie zajęcia poświęcone fonii w kulturze. Bo jak opowiadać o czymś, co nie daje się łatwo ubrać w rzeczowniki, przymiotniki, przysłówki? Ograniczałam ten etap kształcenia do granic możliwości, oddając pałeczkę uczniom, którzy z kolei chętnie dzielili się swoimi doświadczeniami. Specjalnie mnie to nie dziwiło, gdyż na tym stadium budowania tożsamości muzyka stanowi istotny (o ile nie najistotniejszy) składnik samoidentyfikacji, ale wartość merytoryczna tych lekcji była znikoma i ograniczała się do refleksji z gatunku „co się komu podoba", nie zahaczała nawet o odpowiedź na pytanie „dlaczego?".

Przyznaję – to co trafia w głąb mojego ucha i potrafi skutecznie rozedrgać błonę bębenkową, buduje dość osobliwe terytorium. Jest to sfera doświadczeń równie osobistych jak te, które rozgrywają się za drzwiami sypialni i nie jest to jedyna „pościelowa" analogia. W jednym i w drugim przypadku, choć emocje pozostają indywidualne, to lepiej smakują przeżywane w umiejętnie wyselekcjonowanym towarzystwie. Takim, którego błona bębenkowa drga w podobnym rytmie i z tego względu nie wymaga dodatkowych komentarzy, przez co też skutecznie wymyka się natrętnej artykulacji.

Czasami jednak pojawia się pytanie: „a może warto by było spróbować w pojedynkę?". Tak sobie myślę, gdy już zrezygnowałam z pójścia na występ Soap&Skin. Bo niby dlaczego do kina bez problemu mogę wybrać się sama, a na koncert już nie? Chociaż z drugiej strony zadowolę się płynącymi wprost do mojego ucha dźwiękami w formacie mp3… Jak to jest z tą muzyką?

W słowie wstępnym do wydanej niedawno biografii Zygmunta Kałużyńskiego (*Pół życia w ciemności*) Tomasz Raczek konstatuje zaczepnie – „Muzykę ochraniał najskrzętniej. Prawie nigdy o niej nie pisał, a przecież do życia potrzebował jej bezwzględnie. Słuchał godzinami, zamykając oczy (…). Muzyka w jego domu-pracowni brzmiała zawsze: głośno, gdy trzeba było słuchać forte, i cicho, gdy gubiła się w diminuendach. (…) Nie wiedzieli tego Państwo o Zygmuncie Kałużyńskim? Pewnie nie – bo on tego nie chciał".

Doskonale to rozumiem. To była jego przestrzeń intymna.

bełkot miasta

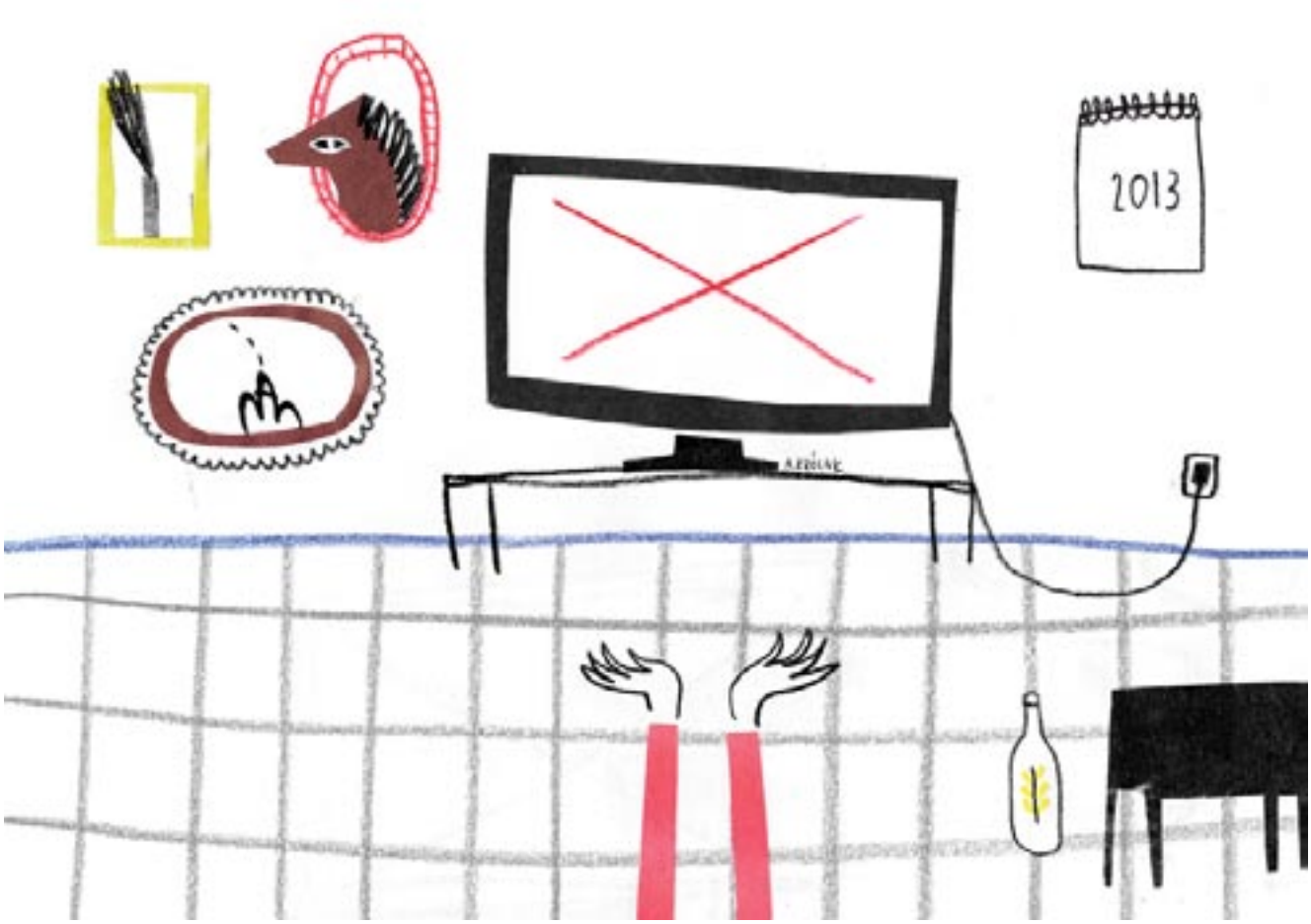

ILUSTR. AGATA KRÓLAK

Józef Mamut

Iznowu to samo. Drzwi zamknięte zazwyczaj nie zapowiadają niczego aż tak strasznego. Trupy na podłodze filharmonii przypomniały Stefanowi jego niesławne lata osiemdziesiąte, o których starał się zapomnieć w letargu lat dziewięćdziesiątych. I teraz znowu twarz fiuta okryła się rozpromienionym rumieńcem hasania wśród kropelek krwi na partyjnym betonie. Pijąc „Żytnią", zagryzając przeterminowany szczaw, gapił się na ślady zbrodni północnokoreańskich wyznawców myszki Kim Chi na swoim ultralekkim wyświetlaczu LSD.

Wtedy wpadł na pomysł tej głośnej konferencji prasowej, na którą zaprosi jakiegoś piosenkarza-narodowca, który w trakcie wielkiego wejścia na tablecie, będzie grał hymn Rosji w stylu reggae i palił papierosy bez akcyzy, mówiąc, że to nie są dopalacze, bo się spalają tylko do połowy.

Wtedy zadzwonił telefon. Nie miał ochoty rozmawiać ze swoim transseksualnym mężem z pierwszego związku partnerskiego, rzucił więc słuchawką w twarz sekretarza, przydzielonego mu przez tajne służby za czasów, kiedy jeszcze miał możliwość wzwodu na zebraniu i noszenia ponczo. Pewnie spóźnił się przed północą z urodzeniem ustawy i nie przysługuje mu dodatek podatkowy.

„Zatweetuję później" – pomyślał – i przeprosi, że wypadło mu coś ważnego: Kasia, Madzia albo dym z komina w kolorze czarno-białej tęczy. Wtedy nawet nagłe opodatkowanie kont bankowych ujdzie mu na sucho. Zresztą wszystko ostatnio uchodzi wszystkim na sucho jak pustynna bryza. Priorytety przeszły na plan dalszy, a zaszczytne miejsce komentatora spraw społeczno-politycznych zajął bezpański wibrator spuszczony ze złotego łańcucha.

Fajnie czasem pomarzyć o nierozklekotanych samochodach pędzących niedziurawymi drogami, mimo że daleko im do autostrad. Bardzo fajnie, zwłaszcza, gdy w radiu słychać ciepły głosik pani blond-redaktor, która, zapraszając do studia kolejnych ekspertów od moralności, będzie tłumaczyć kolejne wspaniałe posunięcia Ministerstwa Edukacji Narodowej wprowadzające zakaz noszenia do szkoły kanapek z koniną.

Przecież konina jest zdrowsza od wieprzowiny – pomyśli przy tym niejeden tirowiec znużony dietą przydrożnych jadłodajni. Ale co tam. Ważna jak zawsze jest data ważności – zarówno konserw, jak i liberalnych pomysłów tego pajaca z wąsami. Demokracji się zachciało, to marsz do koryta, parszywe gamonie. Gdyby tak brzmiały wszystkie rezolucje – tak jasno i dosłownie – można by się nawet pokusić o pójście na wybory w odświętnych stringach.

Wtedy nawet chodziłbym w sposób świecki ze święconką, pełną darów naszych pól i obór, nie obrażając napiętych do granic wytrzymałości uczuć religijnych ateistów. Oni przecież tak mocno wierzą, że powstali z przypadku, że to nie może być przypadek.

SUBIEKTYWNY I STRONNICZY
ALFABET MODY POLSKIEJ
PRZYGOTOWUJE DLA WAS
MAGDA WICHROWSKA

BOHOBOCO
WARSAW

B - BOHOBOCO

Tym razem B jak BOHOBOCO, czyli duet: Michał Gilbert Lach i Kamil Owczarek. Zanim postanowili stworzyć wspólną markę, zbierali doświadczenie w branży modowej. Legenda głosi, że poznali się przez znajomych. Obaj nosili w sobie pomysł na własną markę, sporo o tym rozmawiali, ale dopiero wyjazd do Nowego Jorku pozwolił im podjąć decyzję. Czy narodziny BOHOBOCO zawdzięczamy rogalikowi zjedzonemu przed sklepem Tiffany-'ego? Patrząc na ich kolekcje, raczej nie. Bardziej obstawiam wielogodzinne spacery ulicami Wielkiego Jabłka. Największy wybieg świata – jak mawia się o Nowym Jorku – to przede wszystkim pochód osobowości. Nowojorczycy przez swój strój kapitalnie opowiadają historie, wyrażają własny nastrój i poczucie humoru. Gdy dorzucimy do tego atmosferę cierpiącego na bezsenność miasta, jego rytm i niejednoznaczność architektury, docieramy do sedna – filozofii marki BOHOBOCO.

Chociaż język projektantów z pokazu na pokaz ewoluuje, jego entuzjaści bez problemu odnajdują do niego klucz: inspiracje modą uliczną wielkich metropolii, wygoda, nonszalancja, awangarda, nieskazitelne odszycie i mieszanka stylów.

Wszystkie te elementy odnajdujemy w kolekcji na ten sezon, czyli wiosna–lato 2013. Mamy niejednoznaczność nowojorskiej architektury, czyli zabawę w kroje i długości. Mamy dynamikę i zmienność oraz niewymuszony *charm* i szyk charakterystyczne dla natury wielkich miast. Od prostych sportowych koszul, przez frywolne sukienki koktajlowe, aż po powłóczyste suknie w sam raz na czerwony dywan. Także w fasonach brak motywu przewodniego. Projektantów w równym stopniu porwały swobodne fasony, co urzekły precyzyjnie zarysowane kobiece kształty. Kolory? Tu bez wątpienia łapiemy trop pasteli: biel, blady róż, krem, podkreślone szarościami i czernią. Urzekają materiały: len, bawełna, wełna, jedwabna organza i skóra.

Jednym słowem wiosna w większym i cieplejszym mieście. Rozumiem, że o większym nie każdy marzy, ale cieplejszego w połowie marca (moment, w którym stukam dla Was w klawiaturę) chyba każdy z nas pożąda. W związku z przedwiosennymi zawiejami i zamieciami na otarcie łez BOHOBOCO proponuje pieprz, wanilię, gałkę muszkatołową, drzewo cedrowe i białe piżmo, czyli dość zimową otulinę z perfum. Jest to jakieś rozwiązanie!

Ciekawostka
Twarzą zapachu BOHOBOCO No. 1 jest Marta Żmuda Trzebiatowska.

KONKRETNIE, CZYLI BETON

Były czasy, że doświadczenia z wielkopłytową architekturą skutecznie wyleczyły designerów z szukania w betonie wartości estetycznych. I chociaż architektura miejska siłą rzeczy nigdy z betonem całkowicie nie zerwała, to jednak bezdusznie utylitarny charakter tego materiału wymazał go przez chwilę z projektowania użytkowego przedmiotów. Jest to jednak produkt z różnych względów doskonały: tani i wytrzymały, wodo- i ognioodporny, idealny jako szkielet, wizualnie neutralny. Dobrej jakości beton jest niewrażliwy na warunki pogodowe, łatwy w konserwacji, a przede wszystkim bardzo łatwo kształtowalny. Dziś w projektowaniu niewielkich betonowych elementów odchodzi się też od wzmacniania konstrukcji metalem. Zastępuje go wówczas włókno węglowe, co znacznie redukuje wagę wykonanych z betonu przedmiotów. Chociaż w polskim designie z betonem obchodzimy się wciąż ostrożnie, nowoczesna architektura oraz wzornictwo w Europie i na świecie korzystają z betonu chętnie, dając dobry przykład zarówno w ujęciu typowo użytkowym, jak i dekoratorskim.

Chociaż płynny beton może przyjąć niemalże dowolny kształt, jego industrialna estetyka – po części z racji odwiecznie przypisanej mu funkcji – wciąż najlepiej zgrywa się z prostymi bryłami geometrycznymi. Rozliczne transformacje betonu są zazwyczaj utrzymane w duchu wyrachowanej prostoty, coraz częściej jednak ktoś rzuca wyzwanie kanciastej oczywistości betonowej bryły. Powstają wówczas kształty nietypowe dla betonu u samych podstaw: obłe, krągłe, a nawet po prostu miękkie. W związku z tym pomysły na wykorzystanie betonu również przechodzą wielki renesans. Powstają betonowe meble, betonowa rzeźba, betonowa tkanina, przeróżne przedmioty i części przedmiotów, gdzie jeszcze niedawno tani, zimny i szary beton nie miał prawa logicznie zaistnieć. Oto kilka takich designerskich niespodzianek.

Lavazza zaskoczyła designerski rynek wypuszczając betonowy ekspres do kawy *Lavazza Solo*. Maszyna, zaprojektowana przez Shmuela Linskiego (*www.linskidesign.com*), została perfekcyjnie wpisana w stylistykę materiału poprzez wybitne okrojenie z ozdób. Mechanizm ukryty jest tu w zaokrąglonej nowocześnie bryle betonu, a dwa tylko przyciski na fasadzie urządzenia mogą nam zrobić odpowiednio espresso małe i espresso duże; żadnych regulacji, kombinacji i bajerowania. Do tego kropka nad „i", a więc miejsce na jedną tylko filiżankę. Praktyczność projektu można dyskutować – wiadomo, że z uwagi na ciężar i porowatość nie jest to najlepsza kuchenna alternatywa, lecz mimo to robi bardzo świeże wrażenie.

Podobnie rzecz się ma z wazonem *Weight Vase*. Przedmiot jest ogólnie ciekawy, bo młoda projektantka Decha Archajnanun dokonała tu genialnego odcięcia od siebie dwóch podstawowych funkcji, idealnie zachowując przy tym ich wzajemną komunikację. Funkcję stabilności i utrzymania wody przejął surowy betonowy blok, podczas gdy stalowy pręt zwieńczony obręczą zapewnia piękną prezencję każdej ilości kwiatów. Chociaż beton i metal nie uwolnią się od klasycznego skojarzenia z niechlubnym „żelbetem", ten projekt stanowi jego wyrafinowaną redefinicję. Stabilna konstrukcja nie przeciąża całości, a stalowy pręt kreśli kontur w powietrzu, dając nieodparte wrażenie przejrzystości, o tyle fajniejszej niż szklana, że całkowicie prawdziwej.

Trzeba przyznać, że idea betonowej rzeźby też zaskakuje. Po pierwsze, oczywiście materiał, ani szlachetny, ani wymagający kunsztownych umiejętności obróbki, a jednak wspaniale wykorzystany do celów artystycznych. Stalowy szkielet otrzymuje tu intensywny, prosty kolor i nieregularny, kanciasty kształt. Beton natomiast niczego nie udaje, jest zimny i ciężki, bo taki właśnie ma być. Mówię tu o *Measures* autorstwa Fabrice Le Nezet (*www.fabricelenezet.com*), a więc serii konstrukcji, w których, jak sam mówi, chce zmaterializować pojęcie ciężaru i sprawić, by siły naprężenia i wytrzymałości stały się wizualnie namacalne. Wrażenie dynamiki jest przeogromne: patrzę na betonowe bloki ujęte w stalową sieć i widzę przedmioty wiszące na włosku. Nieruchomość odgrywa rolę zwolnionej klatki, beton jest coraz cięższy, a metal wydłuża się niewiarygodnie. Chwilę trwa zanim przyzwyczajam się do myśli, że jednak nie pęknie.

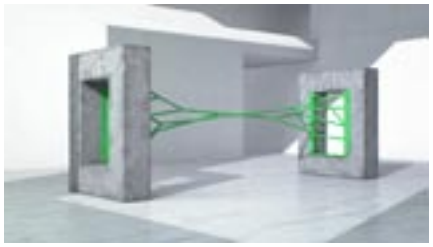

Na koniec *Concrete Canvas*, okrzyknięty materiałem roku 2009 (*concretecanvas.co.uk*). Równy, gruby splot daje betonowej „tkaninie" idealny rys i wrażenie miękkości. Niemożliwej bardziej niż niewiarygodnej, bo przecież to w końcu beton, a raczej warstwy PCV i płótna pokryte betonowym pyłem. Materiał da się swobodnie formować, ale wkrótce potem stwardnieje pod wpływem wilgoci zawartej w powietrzu i przyjmie standardowe betonowe właściwości, zachowując przy tym strukturę tkaniny wraz z jej fałdami, zagięciami i splotem. To pomysł przełomowy i niesamowicie użyteczny, szczególnie w sytuacjach awaryjnych. Po katastrofie naturalnej można szybko zbudować z niego wodoodporne schronienia, można też jedną wstęgą położyć ścieżkę przez grząski teren. Designer Florian Schmid poszedł tu o krok dalej i zaprosił *Concrete Canvas* do wnętrza. Jego wielokrotnie nominowany i nagradzany projekt *Stitching Concrete*, to meble szyte z betonowej tkaniny grubym, kolorowym, po domowemu niedbałym ściegiem. Prześmiewcze, bo w rzeczywistości ostatecznie twarde i ciężkie, sprawiają wrażenie miękkiego braku stabilności, niemalże bylejakości. Kolor znów daje głośny akcent. Mamy tu więc grę kontrastów: miękkie i twarde, solidne i chwiejne, kolorowe i szare, a wszystko to w jednej i tej samej rzeczy.

via: Dezeen

via: Dezeen

Te zaskakujące przedmioty to jedynie próbka możliwości, wierzchołek betonowej góry. Chociaż dla niektórych wciąż brzmi jak echo socrealizmu, beton jest dziś raczej manifestem ponadczasowego designu, a upodobanie najprostszych form oraz wiecznie modny kolor uczyniły z niego materiał kultowy. Co ciekawe, zachowanie wartości unikatowych jest w beton wpisane na stałe nie mniej niż jego naturalna szarość, bo przecież naturalnie powstałe drobne wady odlewu decydują o wyjątkowym charakterze każdego przedmiotu. To niemalże okcydentalna reprezentacja japońskiego konceptu „wabi", idea poszukiwanej, drobnej wady podkreślającej paradoksalnie ideał. Dopiero z niej wynika wyjątkowość, a więc też ostateczna doskonałość całości.

Karolina Wiśniewska

książka

SWAWOLNY ZYZIO

Zygmunt Kałużyński należał do odchodzącego już w niepamięć grona barwnych osobowości telewizyjnych, cenionych za wiedzę, erudycję, wyrazistość. Chociaż nie da się ukryć, że jego biografia obfituje również w, tak pożądane współcześnie, kontrowersyjne akcenty. Jego wizerunkowi od zawsze towarzyszył delikatny powiew skandalu, podsycany niekonwencjonalnym sposobem bycia, niechlujnym ubiorem, uśmiechem szaleńca. Ale w przeciwieństwie do współczesnych „medialnych bohaterów" o antypodach jego publicznego wizerunku wiemy niewiele. Trzeba jednak przyznać, że ten margines niewiedzy jest w pełni dopuszczalny, a nawet uzasadniony, bo w gruncie rzeczy do niczego nam (czytelnikom, miłośnikom kina, uczestnikom kultury) wiedza o jego pozamedialnych przygodach nie jest potrzebna. Taka konkluzja nasunęła mi się po lekturze opublikowanej pod koniec ubiegłego roku biografii pióra Wojciecha Kałużyńskiego, która odsłania kulisy prywatności najbardziej znanego polskiego krytyka filmowego.

Po *Pół życia w ciemności* sięgnęłam powodowana ciekawością i potraktowałam jako rodzaj przewodnika po nieznanym terytorium. Zagłębiając się w lekturę, dotarłam w końcu do najbardziej oczywistego, filmowego obszaru. Czyżby dlatego, że życie Kałużyńskiego zionęło nudą? Ależ skąd. Zresztą, byłoby to niemożliwe w przypadku osoby, która dorastała w okresie wojennym, której dojrzałość przypadła na lata politycznych transformacji, i która, bądź co bądź, nie miała łatwego charakteru. W tej historii nie brakuje młodzieńczych zrywów miłości (małżeństwo z Julią Hartwig), zawiści i złośliwości (burzliwy konflikt z Aleksandrem Fordem), piętna zawirowań historycznych (agenturalna przeszłość). Kto lubi sensacje, ten z pewnością się nie zawiedzie.

Myśląc o Kałużyńskim, większość z nas ma przed oczami obraz żywo gestykulującego, machającego energicznie na pożegnanie, towarzyszącego Tomaszowi Raczkowi poławiacza „Pereł z lamusa". Ale mało kto (może poza środowiskiem krytyków filmowych) pamięta, jak wiele w sposobie podejścia do „X muzy" zawdzięczamy panu „K.". To on jako pierwszy na naszym rodzimym poletku świadomie zrezygnował z akademickiego rysu filmoznawczych analiz i zszedł do poziomu widza, dla którego kino jest przede wszystkim rozrywką. Nie pouczał, nie przyjmował obiektywnego, krytykanckiego tonu, chociaż w swoich sądach bywał ostry, stanowczy i kontrowersyjny. Niejednemu reżyserowi zalazł za skórę. Niejednego krytyka przyprawił o ból głowy. Jego opinie zazwyczaj różniły się od zdania kolegów po fachu. Przykładowo: „kino moralnego niepokoju" było w jego ocenie wyrazem największego upadku polskiej kinematografii, niechlubną frazą zapisaną na kartach naszej filmowej historii. Konkurować z nim nie było jednak łatwo. Błyskotliwy, intelektualnie lotny, operujący ciętą ripostą nie dawał się zapędzić w kozi róg, ponadto w bezpośredniej konfrontacji sprawdzał się często lepiej, niż w swoich tekstach. Potyczki słowne były dla Kałużyńskiego chlebem powszednim. Piekielna temperatura dyskusji odpowiadała mu najbardziej. Inni się w niej topili (chociażby Aleksander Jackiewicz broniący ekranizacji *Nocy i dni* w programie „Sam na sam"), on grzał się w jej cieple i przeciągał leniwie jak kot szykujący się do ostatecznego ataku.

Nie zapominajmy jednak, że Kałużyński to również znakomity hochsztapler. Umiał bawić się opinią publiczną. Dobrze wiedział, jakie są jej oczekiwania i umiejętnie je podsycał. W konsekwencji wiemy o nim tyle, ile chciał i w takiej wersji, jaką sam akceptował.

Specjaliści od wizerunku mogliby się od niego wiele nauczyć. Dla nich *Pół życia w ciemności* powinno być lektura obowiązkową.

Iwona Stachowska

Wojciech Kałużyński
Pół życia w ciemności. Biografia Zygmunta Kałużyńskiego
Wydawnictwo Zwierciadło
2012

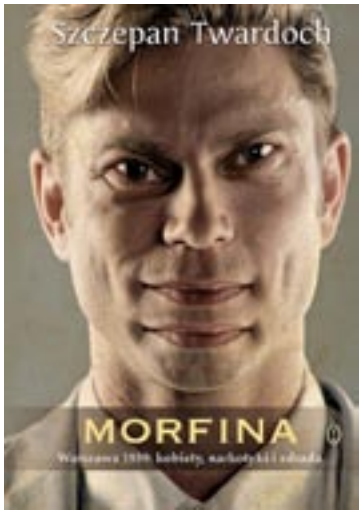

BÓG, HONOR, MORFINA

Zapewne nie będę oryginalna, gdy zacznę recenzję tej książki od okładki autorstwa Filipa Kuźniarza – hipnotycznej, przyciągającej, a jednocześnie trudnej do ogarnięcia wzrokiem. Podobny efekt wizualny powstaje po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu, a może również po zażyciu morfiny, tak przynajmniej można to sobie wyobrazić. Na okładce – twarz jednej osoby, ale powielona i zniekształcona, trudna do jednoznacznej identyfikacji. Okładka, w mojej opinii, genialna, idealnie przystająca do treści.

Akcja książki rozgrywa się jesienią 1939 roku w okupowanej przez Niemców Warszawie. Bohater – Konstanty Willeman (nieprzypadkowa zbieżność inicjałów z Konradem Wallenrodem) przed wojną nie miał problemów z tożsamością. Nie przeszkadzało mu, że jest synem Niemca i spolszczonej Ślązaczki – narodowość nie miała dla niego istotnego znaczenia. Znaczenie miało jedynie jego piękne życie lekkoducha, bywalca najwytworniejszych

lokali. Urodzenie, prezencja, pieniądze – wszystko to, choć niezasłużone, zapewniało znakomitą pozycję w towarzystwie i nie pozostawiało mu czasu na dylematy egzystencjalne.

Niestety, wojna rujnuje dotychczasowe życie Konstantego, niszczy Warszawę, jaką znał i kochał, brutalnie wyrywa go z transu odurzenia alkoholowego, występującego naprzemiennie z kacem. Wychodzi na jaw, jaki jest słaby – bez charakteru, tożsamości narodowej, poczucia własnej wartości. Dlatego przede wszystkim szuka dowartościowania wśród otaczających go kobiet. To z ich powodu wplątuje się w działalność podziemnej organizacji patriotycznej. Jego pochodzenie sprawia, że jest pozornie znakomitym nabytkiem dla owej organizacji, jednak działa tak nieporadnie, że trudno o większy blamaż. Gdy ma coś dostarczyć na wskazane miejsce, to owo „coś" gubi. Gdy ma przewieźć pieniądze, to je malwersuje. Jest przy tym tak bardzo ludzki, że aż wzruszający, w niewytłumaczalny sposób budzi sympatię czytelnika.

Losy tego bohatera, czy raczej antybohatera, splecione są z retrospekcjami losów spotykanych przez niego osób, nawet tych ledwo mijanych na ulicy. Dygresja sięga w ich przeszłość i przyszłość, ukazując w migawce całe życie danej osoby. Czasem historie te są przesadnie ckliwe, czasem suche i beznamiętne, w każdym przypadku przedstawiają kwintesencję i tragizm ludzkiego bytu. Najbardziej znamienna jest smutna historia podstarzałej panny Alicji, napotkanej przez Konstantego przygodnie na letnisku. Pannie Alicji wydawało się, że najgorsze, co ją w życiu może spotkać, to staropanieństwo. Los okazał się jednak znacznie bardziej okrutny, targając nią i niszcząc z zawziętością wręcz kiczowato przesadną. Zaprezentowany przy tej okazji obraz srebrnych sztućców opadających w głębiny morza, jakby żywcem wziętych z produkcji hollywoodzkich, świadczy o skłonności autora do autoironii.

O specyfice tej powieści stanowi przede wszystkim narracja, będąca swoistym rodzajem strumienia świadomości. Prowadzona jest w trzeciej lub pierwszej osobie, chwilami na dwa głosy. Ten drugi głos należy do tajemniczej, mrocznej towarzyszki Konstantego, ducha żywiącego się jego męską witalnością, czy może ludzką słabością. Sam autor, być może nie chcąc pozbawiać czytelników możliwości samodzielnej interpretacji, oświadczył, że nie wie, kim jest ów pierwiastek kobiecy. Czyżby to była Mojra, przędąca jego los?

Specyficzna polszczyzna narratora wprowadza czytelnika w trans, którego sama dotkliwie doświadczyłam. Gdy przez parę dni Morfina była moją nieodłączną towarzyszką, mój wewnętrzny głos zaczął przemawiać do mnie językiem Konstantego. Było to dość zabawne, lecz irytujące, po przeczytaniu zaś książki do końca – zniknęło bez śladu. Całe szczęście – nie chciałabym, aby moja podświadomość już zawsze komunikowała się ze mną polszczyzną sprzed reformy ortograficznej.

Morfina to literatura na wysokim poziomie. Jej fabuła jest niezwykle dynamiczna, nie pozwala oderwać się od lektury. Wyraziście przedstawiona rzeczywistość okupacyjna daje nam możliwość przeniesienia się w czasie, wczucia w atmosferę „zgwałconej Warszawy" i zrozumienia, że historię tworzyli zwykli ludzie, a nie kryształowi, mityczni herosi.

Anna Ladorucka

Morfina
Szczepan Twardoch
Wydawnictwo Literackie
2013

muzyka

MUMFORD & SONS - BABEL

Pod nagraniem jednego z ich koncertów zauważyłem opinię: "nawet z białym kolorem skóry czuję się zaniepokojona, widząc tak duże zgromadzenie białych ludzi, szczególnie gdy towarzyszy temu dźwięk banjo". Jednak to nie zespół z południowych stanów Ameryki, ani „pieprzeni Amisze", jak powiedział o ich wyglądzie Liam Gallagher, a chłopcy z Londynu. Grupa założona w 2007 roku, już w 2008 wystąpiła na Glastonbury Festival. W 2009 wydali swój pierwszy album, *Sigh No More*, który znalazł się na 2. miejscu Billboard 200. Po takim sukcesie, jak mówi wokalista Marcus Mumford, uznali że, no cóż, chrzanić to, najwyżej druga płyta będzie rozczarowującym drugim dzieckiem, jak to w ich przypadku często bywa. W momencie ukazania się, płyta Babel znalazła się na 1. miejscu Billboard 200, zdobyła nagrodę Grammy za album roku, a BRIT Awards uhonorowało ich nagrodą dla najlepszego brytyjskiego zespołu 2013 roku.

Wykorzystując nieco zakurzoną, bluegrassową stylistykę, udało im się stworzyć coś świeżego z niepowtarzalnym brzmieniem. Podążają tą ścieżką konsekwentnie. Mimo podobnego zestawu instrumentów w każdym utworze (m.in. banjo, gitary, akordeon, skrzypce), żaden z nich nie nuży, a pełen emocji wokal Markusa Mumforda wciąga. Nawet jeśli zabraknie im inwencji i następną płytę zrobią według tego samego pomysłu, będzie to świetna płyta. Ciepła płyta o hipnotycznym uroku.

Wiktor Łobażewicz

Mumford & Sons, *Babel*
Island Records 2013

FINK - PERFECT DARKNESS

Fink, czyli Fin Greenall, związał się z Ninja Tune w czasie, gdy tworzył muzykę zdecydowanie bardziej wpisującą się w profil tej wytwórni (trip-hop, ambient). DJ, autor piosenek, producent (pracował chociażby z Amy Winehouse). W 2006 roku zmienił kierunek i jako Fink sięgnął po brzmienia perkusji, gitar akustycznych i instrumentów smyczkowych. Obecnie jego muzyka to mieszanka bluesa, jazzu, soulu czy folku. Nie jest przekombinowana, raczej kameralna i minimalistyczna. Doskonale wkomponowuje się w nią jego wokal, pełen emocji, miękki baryton, często określany jako jeden z najlepszych brytyjskich głosów.

Perfect Darkness jest czwartym albumem Fink. Ma soulowo-jazzowy charakter, choć tak naprawdę trudno go scharakteryzować. Płyta trochę mroczna, jak wskazuje sam tytuł. Zrównoważona brzmieniowo. Nie odnosi się jednak wrażenia, że jest wydumana i cokolwiek powstało tu na siłę. Może utwory zawarte na płycie nie nadają się do śpiewania pod prysznicem, może nie nadają się na radiowe hity, ale słucha się jej w domowym zaciszu bardzo przyjemnie i jest to przyjemność czysta i wielokrotna. W dobie zalewu wokalistami i tekściarzami różnej maści muzyka Finka ma tyle własnej indywidualności, że nietaktem byłoby jej zignorowanie.

Wiktor Łobażewicz

Fink, *Perfect Darkness*
Ninja Tune, 2011

TRANS RÓŻ

Niezwykle cenię wszelkie przejawy inicjatyw aktorskich, realizowanych poza głównym nurtem repertuarowym teatrów i z dużym optymizmem oczekiwałem pierwszej tegorocznej premiery Teatru im. Wilama Horzycy pt. *Pięć róż dla Jennifer* Annibale Ruccello w reżyserii Marii Spiss. Wydawało się, że najnowszy pomysł Sceny Propozycji Aktorskich okaże się ciekawą próbą teatralnego rozluźnienia „transfobicznego gorsetu", szczególnie w czasie, gdy w naszym kraju słyszymy tak wiele agresywnych głosów przedstawicieli władzy, sięgających po argumenty urągające godności osób transpłciowych. Niestety nie jest to próba udana. Aktorzy i realizatorzy spektaklu dali się złapać w sidła anachronicznego już i, nie będę ukrywał, słabego debiutu dramaturgicznego Ruccello sprzed ponad trzydziestu lat. Do tego wpadli w pułapkę jednorazowego entuzjazmu publiczności, która poznała tekst podczas jego czytania w ramach cyklu „Dramat XXI wieku", reagując rzekomo z niebywałym zainteresowaniem. Czarna komedia *Pięć róż dla Jennifer*, w otoczce umieszczenia bohaterów za murem (!) dzielnicy dla transseksualistów i transwestytów, nijak się ma do współczesnych poglądów liberalnej Europy zachodniej, a swoim archaicznym klimatem nasuwa skojarzenia z niedawną wypowiedzią polskiego laureata pokojowej nagrody Nobla. Przed trzydziestu laty, we Włoszech, gdzie toczy się akcja, smaczek przebranych za kobiety mężczyzn był zapewne nowatorskim posunięciem autora tekstu, ale dziś w tej formie daje się zauważyć wiele rys.

Tytułowej Jennifer (Paweł Tchórzelski) brakuje siły i odwagi współczesnych „trans", to kobieta w średnim wieku, której całe dnie mijają w oczekiwaniu na telefon od poznanego niedawno Franco, krzątaniu się po pokojach, szykowaniu kolacji i słuchaniu radia. Jest niebywale samotna, tworzy wyimaginowane osobowości, momentami także staje się złośliwa, ale przyznam, że trudno jej nie polubić, gdyż jest bardzo ludzka. Jednak to jej czekanie na Franco dość szybko zaczyna nudzić. Niby zmiany akcji spektaklu idą wartko, co chwilę słuchamy to zblazowanej lekko dziennikarki radiowej (Małgorzata Abramowicz), to dzwoniących do studia transwestytów Anuncjaty i Soni (Anna Romanowicz-Kozanecka), gdzieś wokół krąży morderca mieszkańców zamkniętego osiedla. Mimo wątku kryminalnego, wszystko jednak sprzęga się w jakąś sztuczność, a przecież dziś nie chcemy, by tak wyglądało życie równych, acz różnorodnych bliźnich; by afirmacja ich tożsamości w przestrzeni publicznej miała podstawy bardziej ludzkie i obywatelskie. Problem jednak w tym, że autor przed kilkoma dekadami wolał zamknąć swoje bohaterki w getcie, zatem pozostaje im jedynie współczuć. Nawet, gdy z wizytą u Jennifer pojawia się sąsiadka Anna (zasługujący na największe uznanie aktorskie Jarosław Felczykowski), niepewna, tajemnicza i, podobnie jak Jennifer, zagubiona. Urocza scena popijania herbatki z maleńkich filiżanek przez obie panie na chwilę tylko wprowadza spokój w ich świat, przerywany kolejnymi telefonami oraz płynącymi z radia informacjami o morderstwie kolejnego transwestyty na osiedlu. Kot Anny także podzieli ich los, a chwilowa bliskość szybko przegoni obie bohaterki do ich samotni.

Niewiele w tym spektaklu można znaleźć plusów, jest to, niestety, zlepek poszczególnych scen, w których widać, że reżyser zbyt dosłownie podporządkowa-

ła się kostiumowej transformie, zamiast wziąć ją w garść i przemodelować odpowiednio na współczesne potrzeby. Zapewne byłoby to trudne zadanie, biorąc pod uwagę wspomnianą na wstępie miałkość tekstu. Na uwagę zasługuje jednak delikatność, z jaką Anna Spiss poprowadziła aktorów, bez przerysowań postaci, co powoduje, że publiczność, o ile nie bardzo potrafi wczuć się w ich sytuację, to jest w stanie je autentycznie polubić. To przede wszystkim spektakl o ludzkiej samotności, straszliwym głodzie miłości, pustce przerwanej pauzą, włoską piosenką i uporczywym dzwonkiem telefonu (ale nie tego, na który się czeka). Tak jak życie Jennifer: jej pięć róż pachnie tylko rozczarowaniem i pustką, a widzowie pozostają w niedosycie transu. Cóż – to kolejny przykład braku wyczulenia toruńskiej sceny dramatycznej na tendencje panujące we współczesnym teatrze, z ciągle powtarzalnym deficytem zdolności wchłaniania nowych prądów społecznych, tak by przekształcać je w sztukę tworzoną dla nieco bardziej wyrobionych widzów.

Aram Stern

Annibale Ruccello, *Pięć róż dla Jennifer*
reż. Maria Spiss,
Teatr im. Wilama Horzycy
premiera 19 stycznia 2013

TRUP W GALERII

Zblazowany, zarabiający krocie, a do tego wytatuowany od stóp do głów artysta Tiger (Paweł Kowalski) wpada na radykalny pomysł – postanawia zapisać ciało w testamencie przyjaciołom, jako swoje ostatnie dzieło. Przyjaciele – Lea (Aleksandra Bednarz) i Fred (Tomasz Mycan) z początku nie traktują jego zapowiedzi poważnie, ale kiedy do ich drzwi puka asystent Tigera, Alex (Arkadiusz Walesiak) z zabalsamowanym trupem, wiedzą, że czekają ich liczne kłopoty. Zwłaszcza, że o całej sprawie dowiaduje się wkrótce Naomi (Matylda Podfilipska) – siostra Lei, kochanka Tigera, właścicielka galerii sztuki współczesnej.

Wyreżyserowana w Teatrze Horzycy przez Anę Nowicką sztuka Igora Bauersimy i Rejane Desvignes *Body Art*, choć na pierwszy rzut oka może wydawać się drapieżna i kontrowersyjna, po bliższym przyjrzeniu okazuje się niezbyt odkrywcza i w sumie dość niewinna. Meandruje między makabryczną farsą i (odrobinę poważniejszą) krytyką komercjalizacji współczesnego świata sztuki. Ma jasno zarysowane, uproszczone morały, które słyszeliśmy już dziesiątki razy: ludzie są dzisiaj w stanie zrobić za pieniądze wszystko (nawet sprzedać zwłoki najlepszego przyjaciela), a tzw. „sztuka współczesna" jest tworzona przez łasych na pieniądze szarlatanów.

Nowicka wybrała, niestety, chyba jeden z gorszych pomysłów na inscenizację spektaklu – potraktowała tekst bardzo poważnie, postanowiła przy tym uwypuklić jego, i tak już uwypuklone, przesłania. W pierwszej scenie Tomasz Mycan napisze więc od niechcenia kredą na ścianie słowa „forsa" i „mamona", żeby było jasne, o czym będzie mowa. W galerii Naomi, zamiast obecnej w tekście arcydrogiej kanapy, pojawi się krzesło, z którego siedzenia po naciśnięciu specjalnej dźwigni wyskakuje wesoło gumowy penis, żeby widz po raz kolejny nie miał wątpliwości, co powinien myśleć o współczesnej sztuce.

Dużo tu zabiegów, które mają pachnieć prowokacyjną nowoczesnością, ale okazują się chybione i archaiczne. Projekcje wideo zasypujące widza dziesiątkami obrazów (traumy wojny, ludzkie zwłoki i ich preparowanie, świat mody i wielkich pieniędzy) są albo zupełnie zbędne, albo stanowią naiwny, dosłowny komentarz do fabuły spektaklu. Ostre techno i migające światła w przerwach między scenami mocno trącą myszką. Z zamierzenia naturalistyczna scena seksu Freda i Lei jest na tyle niepotrzebna i nieporadna, że zamiast przekonywać – śmieszy.

Niezbyt dobrze spisują się toruńscy aktorzy. Grają z płaską, przerysowaną manierą. Na uwagę zasługuje jedynie rola Pawła Kowalskiego – jego Tiger jest odpowiednio enigmatyczny, niepokojący, dostojny i zblazowany. Zapada w pamięć – a zagrać dobrą rolę w kiepskim spektaklu bywa bardzo trudno.

W finałowej scenie Tiger wyładowuje rozczarowanie podłymi przyjaciółmi, którzy chcieli sprzedać jego trupa, śpiewając na tle malowniczej projekcji wideo *Hymn o miłości* św. Pawła. Trudno przy tym zachować powagę. Pominięte przez Nowicką zakończenie dramatu *Body Art* bierze w ironiczny nawias całą jego fabułę. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie tej ironii w przedstawieniu zabrakło. *Body Art* dołącza niestety do serii nieciekawych spektakli na scenie Horzycy.

Paweł Schreiber

Igor Bauersima/Rejane Desvignes, Body Art
reż. Ana Nowicka
Teatr im. Wilama Horzycy
prapremiera polska 9 marca 2013

Film

TETROCINI I JEGO BRACIA

Nie jest to premiera, film ma już parę lat. Francis Ford Coppola kręcący dzieło na podstawie własnego scenariusza: rzadko to się zdarza, więc stwierdziłem, że należy przyjrzeć się nieco lepiej *Tetro*.

Spotykamy tam pewne znane z wcześniejszych filmów Coppoli motywy i wątki, które przeglądają się jak w lustrze w Buenos Aires, metropolii po drugiej stronie amerykańskiego lądu, wyjątkowo ciekawej dla Amerykanina włoskiego pochodzenia - jako największe południowoamerykańskie skupisko ludności o włoskich korzeniach. I kraj, i kultura – choć hiszpańskojęzyczne - z bardzo widocznym wkładem włoskiego żywiołu.

Ale nie włoskość ani argentyńskość poddaje Coppola analizie, lecz relacje międzyludzkie, w których, ocierając się nawet nieraz - odważnie - o sentymentalny banał, stara się dotrzeć do tego, co stanowi istotę więzi. I nie należy w uproszczony sposób odpowiadać sobie na podstawie filmu na pytanie o charakter owej istoty; wszędzie, gdzie odpowiedź wydaje się bliska, umyka nam. Oglądając *Tetro*, można też zadawać pytanie o drogę do samego siebie, o sposób odnalezienia czegoś dla siebie najbardziej fundamentalnego: czy szukać tego w swym wnętrzu, czy wśród innych, czy też w odnalezionym na mapie własnym zakątku ziemi? I jak pogodzić potrzebę tego poszukiwania z odpowiedzialnością za bliskiego człowieka?

Nie jest to jednak dogłębna analiza, film psychologiczny ani dramat egzystencjalny. Reżyser w ciekawy sposób bawi się samą materią filmową - nie tylko po to, by wydobyć więcej z ukazanych w filmie problemów, dotrzeć głębiej; ale też z czystej przyjemności poszukiwania artystycznego zanurzonego po uszy w żywiole i języku filmu (przez duże ef).

Jednak i te swobodne poszukiwania pomagają Coppoli lepiej wydobyć to, co się dzieje między postaciami i w ich wnętrzach. Bardzo udany zabieg polegający na przedstawieniu obrazów z przeszłości w kolorze, podczas gdy zasadnicza akcja filmu toczy się wyłącznie w czerni i bieli: jakby przeszłość była bardziej żywa i namacalna od tego, co dzieje się tu i teraz… Chyba na to wskazywałyby i inne elementy filmu; zatem byłaby to przeszłość, która rządzi nami, nie pozwala w sposób pełny czerpać z tego, co przynosi teraźniejszość. Dopiero uporanie się z przeszłością może pomóc odnaleźć jakiś sens w tym, co dane na co dzień.

W podobnie ciekawy jak w *Tetro* sposób wykorzystuje Coppola kolor w czarno-białym filmie sprzed lat, *Rumble Fish*. Swoją drogą – także opisywane w obu filmach relacje moją sporo podobieństw. Zresztą pierwotnie starszego brata w *Tetro* miał zagrać Matt Dillon, czyli młodszy z *Ruble Fish*. Może reżyser nie chciał aż tak mocno zbliżać do siebie obu filmów, a może intuicja po prostu wskazała mu Vincenta Gallo jako bardziej nadającego się do tej roli? I chyba się nie pomylił… Naprawdę, Gallo (który nigdy wcześniej mnie nie zachwycił…) zagrał swą rolę bezbłędnie.

Również wszystkie pozostałe zasadnicze role zostały bardzo ciekawie zagrane. Klaus Maria Brandauer po mistrzowsku zmierzył się z rolą z pozoru drugoplanową. Ojciec i mistrz Tetrocini jest postacią charyzmatyczną, egoistyczną, bezwzględną i trzeba było znaleźć aktora, który w zaledwie paru gestach i słowach - na więcej nie pozwala złośliwy scenariusz - potrafiłby ukazać wszystko, co ta postać *de facto* centralna niesie z sobą. Tego typu zabieg nie jest nowością u Coppoli, wcześniej idealnym odtwórcą podobnych ról był wielki Marlon…

Mój zarzut wobec Coppoli byłby zarzutem o rodzaj męskiego szowinizmu: świetnie ukazana przez Mirabel Verdu postać Mirandy zdaje się istnieć tylko po to, by rozumieć ze współczuciem problemy bliskich mężczyzn; jej mądrość polega jedynie na umiejętnym odczytywaniu ich uczuć, pragnień, blizn z przeszłości. Piękna rola, ale tylko służebna – podmiotowość tradycyjnie usunięta w cień…

Marek Rozpłoch

Tetro
reż. Francis Ford Coppola
Gutek Film
2010

hermetyczny kącik satyryczny

FIAT ZOFII

Na początek serii "Fiat Zofii" świeża sprawa.
Cofamy się w czasie o kilka tygodni.
Zośka siedzi od rana przed telewizorem
w oczekiwaniu na to, kto zostanie papieżem.
Sprawa się przeciąga, dym się nie pojawia, Zośka zasypia.

Śni jej się taka idealna sytuacja komunikacyjna.

Zośka budzi się. W telewizorze reklamy.
Za oknem pada śnieg.

Sytuacja jest daleka od idealnej.

Aleksandra Waliszewska

waliszewska.tumblr.com
thecapsule.info

http://www.culture.pl/web/english/resources-visual-arts-full-page/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/aleksandra-waliszewska
https://www.facebook.com/pages/Aleksandra-Waliszewska/152642531244

CSW TORUŃ
5.04 - 19.05

CZY ROZUM ŚNI?

Nigdy chyba nie udało mi się stać – świadomie przynajmniej – konsekwentnym kolekcjonerem. Tym bardziej będę podziwiał to, co będziemy mogli ujrzeć w kwietniu i w maju w toruńskim CSW. Wystawa prezentująca imponującą kolekcję Patrizii Sandretto Re Rebaudengo zawiera dzieła Douga Aitkena, Janeta Cardiffa i Georgea Buresa Millera, Paula Chana, Maurizia Cattelana, Hansa-Petera Feldmanna, Liz Glynn, Thomasa Hirschhorna, Piotra Janasa, Williama Kentridge'a, Roberta Kuśmirowskiego, Yong-Baeka Lee, Sherry Levine, Sharon Lockhart, Sarah Lucas, Paula McCarthy'ego, Aleksandry Mir, Shirin Neshat, Pauliny Ołowskiej, Sergeya Sapozhnikova i Alberta Pogorelkina oraz Waela Shawky'ego; promuje ją zaś materiał dostępny pod adresem: http://www.youtube.com/watch?feature=player_embedded&v=mmrAqadjGjM#! .

(MR)

Gdy rozum śni / Skarby kolekcji Sandretto Re Rebaudengo
5 kwietnia – 19 maja 2013
CSW „Znaki Czasu"

NRD
6.04

WIDZIALNE DŹWIĘKI

To już szósta edycja „SoundSpotting" – imprezy świetnie łączącej muzykę techno ze sztuką wizualną. Jej pomysłodawczynią jest Kontrasala, która specjalnie na tę okazję – wraz z Atakase, Misshi Nakamishi i KHĄ – tworzy autorskie filmy i animacje. W swojej muzyce preferuje ciężkie, dynamiczne brzmienia oraz głęboki, wibrujący bas. Bohaterem tegorocznej edycji SoundSpotting będzie Paryss, czyli „jeden z najbardziej cenionych trójmiejskich DJ-ów" oraz Wielki Organizator sceny klubowej tego regionu. Od 2002 roku na trójmiejskiej scenie zorganizował niezliczoną ilość (setki) imprez z niezależną muzyką elektroniczną – m.in. w sopockich: „Sfinksie", „Versalce", „Papryce" czy gdańskich: „Apartamencie" i „Wielu Twarzach". Pomysłodawca imprez spod szyldu „Electric City" (które zorganizował w historycznych obiektach gdańskiej stoczni) oraz cyklu „Electronique Boutique". Ojciec dobrze znanej wszystkim miłośnikom tematu imprezy „Bułka Paryss'ka", która gra od 2005 roku i zdobywa coraz to nowe miasta na mapie Polski. Do chwili obecnej odbyło się ponad 250 imprez, na których pojawiło się około 400 polskich i zagranicznych wykonawców. Sety Paryssa to mieszanka deep house'u, tech-house'u i minimalu. Ciągle poszukuje, uwielbia jazz, chillout, ambitną elektronikę, lounge i broken beat. Kolekcjonuje disco oraz wyszukane starocie.

(SY)

SoundSpotting 6 / Paryss
6 kwietnia 2013
NRD

AKADEMICKA PRZESTRZEŃ KULTURALNA WSG
6.04

STYLOWA BITWA!

6 kwietnia w sali widowiskowej Akademickiej Przestrzeni Kulturalnej odbędzie się 5. edycja wydarzenia „Stylowa Bitwa Breakdance". W zawodach zmierzą się tancerze z całej Polski. W jury zasiądą znani w środowisku tanecznym breakdance: Łukasz Kosicki „Kikers", Paweł Kamiński „Pawlotti" oraz Fabian Tofil „5,0". Zawody poprowadzą tancerze z Braterstwa Stylu Dance Studio: Maciej Kosicki „Kosa" i Piotr Wilak „Karuzel", a o oprawę muzyczną wydarzenia zadba Dj Klepper. Więcej szczegółów oraz harmonogram znajdziecie na stronie www.braterstwo-stylu.com.

(LENA)

5. Stylowa Bitwa Breakdance
6 kwietnia 2013
Akademicka Przestrzeń Kulturalna WSG, Bydgoszcz

TEATR IM. WILAMA HORZYCY
6.04

KRÓLOWA CIAST

Najnowsza premiera w Teatrze im. Wilama Horzycy to *Królowa ciast* Béli Pintéra, swoisty rentgen wnętrza rodziny zainfekowanej przemocą. Autor prześwietla relacje między jej członkami, pokazując, jak działa mechanizm tyranii za zamkniętymi drzwiami. Centralnymi postaciami dramatu są podpułkownik milicji, alkoholik i tyran Stefan Kosar oraz podporządkowani mu członkowie jego rodziny. Blisko tu do skojarzeń z orwellowską wizją totalitarnych mocarstw upodlonych rządami silnej jednostki. Ale sieć rodzinnych układów nie jest jedynym budulcem świata Béli Pintéra. W tym mrocznym Alcatraz unosi się też romantyczna poezja z ducha *Ballad i romansów* i rozbrzmiewa ludowa muzyka, tworząc w konfrontacji z rodzinnym piekłem szczególnie nieznośny dysonans.

Spektakl przygotowuje Ula Kijak, absolwentka Wydziału Reżyserii Akademii Teatralnej w Warszawie (2005) oraz współzałożycielka Stowarzyszenia *Grupa Artystyczna Teraz Poliż*. Debiutowała w 2004 roku spektaklem *Szczur* na podstawie opowiadania Gombrowicza w Teatrze Miejskim w Gdyni, jako najmłodsza wówczas reżyser w Polsce. Od tamtego czasu wyreżyserowała szereg innych spektakli w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Poznaniu, Wałbrzychu i Kaliszu. Autorką scenografii do *Królowej ciast* jest Dominika Skaza, a muzykę napisała Maria Rumińska. Udział biorą: Maria Kierzkowska, Jolanta Teska, Mirosława Sobik, Łukasz Ignasiński, Niko Niakas, Paweł Tchórzelski, Michał Marek Ubysz, Grzegorz Wiśniewski oraz Maciej Raniszewski, który w styczniu dołączył do zespołu aktorskiego Horzycy. Widzowie mieli możliwość poznać go w przedstawieniu dyplomowym *Mroczna gra, albo historie dla chłopców* Carlosa Murillo. Spektakl był hitem zeszłego sezonu w repertuarze Teatru.

(AS)

Béla Pintér, Królowa ciast
reż. Ula Kijak
Teatr im. Wilama Horzycy
premiera 6 kwietnia 2013

DWÓR ARTUSA
9.04

DEBIUT TORUNIANKI

Karina Bonowicz, wywodząca się z Torunia dziennikarka, niedawno zadebiutowała również jako pisarka. Nakładem wydawnictwa „Prószyński i S-ka" wydała powieść *Pierwsze koty robaczywki*, przedstawiającą w krzywym zwierciadle polskie szkolnictwo. Jest to historia młodej nauczycielki, która, rozpoczynając pracę w szkole, musi stawić czoła zarówno opornemu ciału pedagogicznemu, niesfornym uczniom jak i nieco zagmatwanemu życiu osobistemu. Powieść ta jest w dużej mierze oparta na doświadczeniach autorki, nabytych podczas rocznej pracy w szkole. Spotkanie w „Dworze Artusa" będzie okazją do bliższego poznania autorki, jej debiutanckiej powieści i pracy dziennikarskiej.

(AL)

Spotkanie z Kariną Bonowicz
9 kwietnia 2013, godz. 19.00
Dwór Artusa, Sala Mała

AKADEMICKA PRZESTRZEŃ KULTURALNA WSG
9.04

DEBIUTY Z REGIONU

9 kwietnia o godzinie 18.00 Akademicka Przestrzeń Kulturalna oraz Centrum Kultury Medialnej Wyższej Szkoły Gospodarki zapraszają na pierwszą bydgoską odsłonę „Movie Mówi Project". Autorką cyklu jest wykładowczyni Instytutu Kulturoznawstwa, dr Magdalena Wichrowska. Projekt ma na celu połączenie dwóch elementów: wykładu, spotkania lub dyskusji („mówi") z wizualnym, filmowym dopełnieniem („movie").

Cykl w Akademickiej Przestrzeni Kulturalnej zainauguruje spotkanie zatytułowane „Debiuty z regionu". Publiczność będzie miała okazję obejrzeć film pt. *Caissa*, a po projekcji odbędzie się otwarta rozmowa z reżyserem obrazu, Marcelem Woźniakiem. Autor jest animatorem kultury i toruńskim dziennikarzem. Filmową pasję zaszczepiły w nim studia filmoznawcze oraz wieloletnia praca przy Międzynarodowym Festiwalu Filmowym TOFIFEST. Marcel Woźniak był także aktorem w Stowarzyszeniu Teatralnym SCENA 2 oraz w Teatrze SZLABAN. *Caissa* to jego półprofesjonalny debiut. Obecnie pracuje nad kolejnym projektem filmowym. „Tytułowa *Caissa* to mityczna driada, przedstawiana jako bogini szachów" – mówi reżyser. To krótkometrażowa przypowieść o życiu jako grze, której planszą jest gąszcz i labirynt miejski. Film został zrealizowany w ramach stypendium kulturalnego Prezydenta Miasta Torunia. W 2010 roku otrzymał w Krakowie nagrodę „One Movie Project" za najlepszy scenariusz.

(LENA)

Movie Mówi Project – „Debiuty z regionu"
9 kwietnia 2013, godz. 18.00
Akademicka Przestrzeń Kulturalna WSG, Bydgoszcz

FUNDACJA TUMULT
10.04 - 14.04

AFRYKAMERY 2013

W dniach od 10 – 14 kwietnia Fundacja Tumult zaprasza na 8. Festiwal Filmów Afrykańskich AFRYKAMERY 2013, podczas którego zaprezentuje fabularne oraz dokumentalne filmy z najróżniejszych zakątków kontynentu afrykańskiego. Prezentowane podczas festiwalu filmy to najlepsze obrazy wyprodukowane na czarnym kontynencie w ciągu ostatnich kilku lat. Afryka znajduje się właśnie w trakcie swojego renesansu, obecnie jest to najszybciej rozwijający się region świata, co ma swoje odzwierciedlenie także w prężnym rozwoju kinematografii, szczególnie w takich krajach jak RPA, Kenia, Egipt, Algieria, Maroko czy ostatnio także Senegal. Filmy wyprodukowane w Afryce coraz częściej kwalifikują się do konkursów najważniejszych festiwali filmowych, startując obok najlepszych produkcji europejskich i amerykańskich. Tematy poruszane podczas tegorocznego festiwalu pokazują Afrykę taką, jaka jest: z trudną historią, aczkolwiek z niezwykle bujną kulturą, z poważnymi problemami, ale z pełnymi temperamentu ludźmi. Opisy filmów na stronie kina: www.tumult.pl.

(AS)

8. Festiwal Filmów Afrykańskich AFRYKAMERY 2013
10 – 14 kwietnia 2013
Fundacja Tumult

MUZEUM PODRÓŻNIKÓW IM. TONY'EGO HALIKA 12.04 - 5.05

FILOZOFIA STODOŁY

Krystyna Berndt będzie autorką najnowszej wystawy fotograficznej, eksponowanej w Muzeum Podróżników, poświęconej obrazowi odchodzącej Europy. Artystka z wykształcenia jest polonistką, teatrolożką i dziennikarką zajmującą się dziedzictwem kulturowym i mniejszościami etnicznymi. Na Podlasiu i w jego sąsiedztwie zrealizowała projekt fotograficzny, rejestrujący „odchodzące" wioski i miasteczka. Wystawa to próba zatrzymania obrazu przemijających kultur z pogranicza polsko-białoruskiego. Krystyna Berndt w nastrojowych fotografiach uchwyciła całą prawdę i wartość kresowych kultur. Domy o dachach krytych gontami, stare stodoły, liryczne kadry z wiejskich chat, konie oraz bohaterów swych opowieści – rdzennych mieszkańców podlaskich okolic. Jak sama autorka wskazuje: „Nie jest to fotografia dokumentalna – to próba poetyckiego, ale i nienudnego zapisu rzeczywistości".

(AS)

Krystyna Berndt, *Filozofia stodoły. Odchodzące wioski białostocczyzny.*
kurator Magdalena Nierzwicka
Muzeum Podróżników im. Tony'ego Halika
12 kwietnia – 5 maja 2013

TORUŃSKA ORKIESTRA SYMFONICZNA 12.04

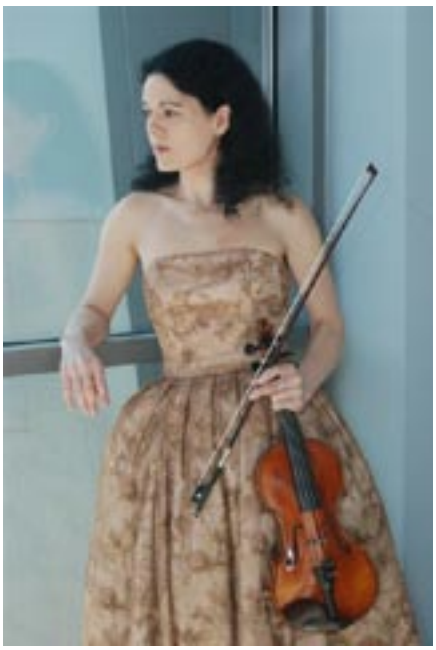

WIELKIE DZIEŁA – WIELCY WYKONAWCY

O *II Symfonii D-dur* Johannes Brahms mówił, że tchnie świeżością i radością – „jakby była napisana specjalnie dla poślubionej pary". „Siła i życie tryskają z niej zewsząd, a przy tym jest w niej głębia uczucia i swojskość". 12 kwietnia jedna z najlepszych polskich skrzypaczek, Marta Magdalena Lelek wraz z Toruńską Orkiestrą Symfoniczną wykona dzieło Brahmsa, które za każdym razem zadziwia prawdziwą wirtuozerią orkiestrową i imponującym kunsztem kontrapunktycznym kompozytora. To nie jedyny punkt programu: tego wieczoru usłyszymy także koncert skrzypcowy Karla Fiorini (ur. 1979), Maltańczyka z urodzenia i Francuza z wyboru, którego kompozycje były prezentowane w dużych miastach europejskich, w USA, Japonii i Ameryce Łacińskiej, oraz na różnych festiwalach.

Grę Marty Magdaleny Lelek wyróżnia piękny dźwięk, energia, doskonała technika i finezja. Naukę gry na skrzypcach rozpoczęła w wieku 9 lat w klasie skrzypiec prof. Pawła Puczka w Katowicach. Doskonaliła również swoje umiejętności pod kierunkiem prof. Wandy Wiłkomirskiej oraz prof. Jose Luisa Garcii Asencio. Studia wyższe podjęła w prestiżowej The Guildhall School of Music & Drama w Londynie, w klasie skrzypiec prof. Krzysztofa Śmietany. Po uzyskaniu tytułu magistra, pozostała na uczelni jako Fellow (adiunkt). Jako solistka, współpracuje z tak wybitnymi dyrygentami, jak maestro Jacek Kaspszyk, Charles Olivieri-Munroe, Claude Villaret, Volodymir Sirenko, Łukasz Borowicz, czy Young Chil Lee.

(AS)

Marta Magdalena Lelek & TOS, Wielkie dzieła
– wielcy wykonawcy
dyrygent Peter Dąbrowski
12 kwietnia 2013, godz.19.00
Sala Wielka Dworu Artusa

MARTA MAGDALENA LELEK /skrzypce/
PETER DĄBROWSKI /dyrygent/
TORUŃSKA ORKIESTRA SYMFONICZNA
W programie:
KARL FIORINI – Koncert skrzypcowy nr 2
JOHANNES BRAHMS – II Symfonia D-dur, op. 73

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ 13.04

SZALONA LOKOMOTYWA

Michał Zadara, reżyser znany bydgoskiej publiczności z przedstawienia *Wielki Gatsby*, przygotowuje kolejny spektakl w TPB. Tym razem chodzi o rzadko wystawiany tekst Witkacego *Szalona lokomotywa*, opowiadający o konfrontacji współczesnego człowieka z kuszącym i niszczycielskim żywiołem techniki. Zapowiada się ciekawe widowisko. Tak, jak w *Gatsbym*, wielką rolę będą pełnić projekcje wideo. A że motywem przewodnim są lokomotywy, na scenie nie zabraknie też wielkiej kolejki elektrycznej, stanowiącej centralny element spektaklu. Oraz rekwizytów dostarczonych przez bydgoskie zakłady PESA. Witkacy w takich szatach może wybrzmieć jeszcze przewrotniej. Występują: Karolina Adamczyk, Mirosław Guzowski, Magdalena Łaska, Mateusz Łasowski, Alicja Mozga, Maciej Pesta, Jakub Ulewicz i Małgorzata Witkowska.

(PS)

S.I. Witkiewicz, Szalona Lokomotywa
reż. Michał Zadara
Teatr Polski Bydgoszcz
premiera 13 kwietnia 2013

NRD 13.04

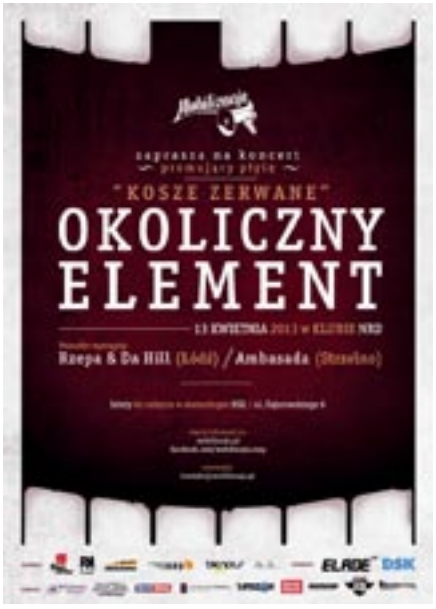

ELEMENTY

Dnia 13 kwietnia, czyli, miejmy nadzieję, że już wśród miłych i ciepłych okoliczności przyrody, w toruńskim NRD zagra Okoliczny Element – opolski skład, który tworzą Mejdej (ex-Dinal) i Ninja. Muzyka Okolicznego Elementu definiowana jest jako rap, ale w trochę bardziej wyluzowanym klimacie, niż w większości hip-hopowych wypadków. Dużo tu popkultury oraz charakterystycznego, „naszego" humoru. Do tej pory ukazały się trzy płyty opolan: *Pierwsza rozgrzewkowa* – epka z 2009 roku, z której pochodzi największy dotychczasowy hit *Balsam Party, Schody donikąd* – „nielegal" z 2011 roku oraz *Kosze zerwane* – płyta z końca roku poprzedniego, którą zespół będzie promował właśnie w NRD. Chłopaków z Opola będą wspierać na scenie Rzepa & Da Hill oraz Ambasada. Ci pierwsi pojawią się z nową płytą *Kontrasty*, drudzy natomiast zaprezentują nieco starszy materiał pt. *Efekt motyla*. Trzy składy, sześć osobowości – myślę, że wszystkie te elementy złożą się w jedną szaloną i pełną mocy noc.

(SY)

Okoliczny Element / Rzepa & Da Hill / Ambasada
13 kwietnia 2013
NRD

DWA ŚWIATY / KAWALERKA 14.04

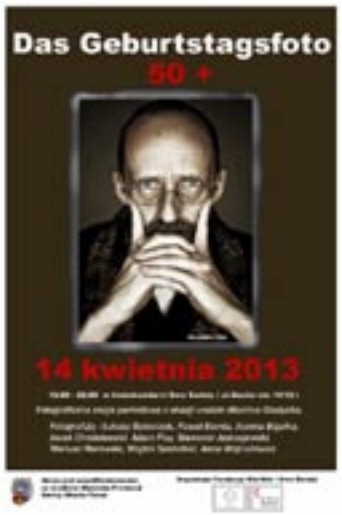

DAS GEBURTSTAGSFOTO 50+

Po raz czwarty reżyser i producent m.in. filmu *Panoptikon* Marcin Gładych organizuje sesję fotograficzną *Das Geburtstagsfoto* z okazji swoich urodzin. Corocznie zaprasza do udziału w tym przedsięwzięciu toruńskich fotografików, którzy w zaimprowizowanym studio portretują mieszkańców Torunia. Każdorazowo fotografowanych jest kilkadziesiąt osób. Marcin Gładych zaprasza w niedzielę 14 kwietnia do jednego z dwóch zaimprowizowanych atelier fotograficznych w klubach Dwa Światy (od godz. 10.00 do 22.00) oraz Kawalerka (od 10.00 do 20.00). Wystawa zdjęć odbędzie się 27 kwietnia w miejscach sesji (w Kawalerce o godz. 14.00 a w Dwóch Światach o godz. 18.00). Po wernisażu swoje zdjęcie będzie można zabrać na pamiątkę! Wszystkich chętnych sportretują: Joanna Bigałka, Anna Wojciulewicz, Paweł Biarda, Łukasz Balcerzak, Jacek Cmielewski, Adam Fisz, Marcin Gładych, Sławomir Jędrzejewski, Mariusz Murawski oraz Wojtek Szabelski. Wstęp wolny!

(AS)

DAS GEBURTSTAGSFOTO 50+
Sesja fotograficzna z okazji urodzin
Marcina Gładycha
14 kwietnia 2013
Dwa Światy / Kawalerka

LIZARD KING TORUŃ
15.04

CZESŁAW ŚPIEWA

Duńsko-polski zespół *Czesław Śpiewa* już niedługo zawita do Torunia z własną interpretacją poezji Czesława Miłosza. Awangardowe brzmienie utworów noblisty nadaje im całkiem nowy, unikalny wymiar. Być może sprawdzi się przepowiednia lidera zespołu, że ich aranżacje w przyszłości uzupełnią lekcje o poezji Miłosza w szkole. Repertuar koncertu obejmuje również przeboje z dwóch poprzednich płyt zespołu, *Debiut* i *Pop*. Występy grupy *Czesław Śpiewa* zyskują rangę spektakli muzycznych. To widowiska z wirtuozerskimi popisami instrumentalnymi – wszyscy członkowie zespołu są absolwentami Royal Danish Music Academy. Klimat koncertów jest zawsze niepowtarzalny, bardzo intymny, niezależnie od wielkości sali koncertowej. Każdy z utworów poprzedza opowieść o genezie jego powstania oraz anegdoty autobiograficzne artysty.

(AL)

Czesław Śpiewa, Solo Act
15 kwietnia, godz. 20.00
Lizard King

GALERIA WOZOWNIA
15.04

O PAPIEŻU MODERNIZMU

„Do Le Corbusiera (1887-1965) przylgnął epitet „papież modernizmu" – wypowiadany i z podziwem, i z przekąsem. Uchodzi on za najbardziej wpływowego architekta XX wieku, a może i wszechczasów. Wiemy, że wielki był, ale już nie do końca wiemy dlaczego. Nic dziwnego – ostatnia wystawa o Le Corbusierze objechała kilka polskich miast w 1966 roku, a ostatnia krytyczna monografia ukazała się w 1982. Jego najważniejszą książkę *W stronę architektury,* z której pochodzą tak słynne idee, jak „dom – maszyna do mieszkania", wydano dopiero w 2012 roku staraniem Centrum Architektury. Tymczasem idee Le Corbusiera to nie tylko lekcja do odrobienia, ale i klucz do zrozumienia polskiej architektury XX wieku, i obecnej kondycji polskich miast. Choć Le Corbusier nigdy Polski nie odwiedził i nigdy nic tu nie zaprojektował, miał przemożny wpływ na to, co o architekturze pisano i myślano, co budowano i jak planowano miasta. Zastępy apostołów, uczniów, współpracowników, mniej lub bardziej zręcznych naśladowców nadały naszym miastom niezatarte Corbusierowskie piętno, zwłaszcza po II wojnie światowej, gdy zrujnowane miasta odbudowywano, korygowano lub budowano całkowicie od nowa według jego teorii. Można nawet powiedzieć, że nowoczesna, powojenna Polska to nieślubne dziecko Le Corbusiera, efekt recepcji jego idei lub przetworzenia lansowanych przez niego form."

Tak zapowiada swój wykład w toruńskiej Wozowni Grzegorz Piątek z Centrum Architektury, który opowie o tym, dlaczego do Le Corbusiera warto wracać, choć nieomylny wcale nie był. Grzegorz Piątek (1980) jest absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, krytykiem architektury, kuratorem wielu wystaw, (m.in. wspólnie z Jarosławem Trybusiem: „Hotel Polonia. The Afterlife of Buildings" na XI Biennale Architektury w Wenecji, nagrodzonej Złotym Lwem za najlepszą ekspozycję narodową). W latach 2005-2011 członek redakcji miesięcznika „Architektura-murator". Laureat Dorocznej Nagrody Ministra Spraw Zagranicznych za promocję Polski na świecie (2009). Autor aplikacji Warszawy w konkursie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Obecnie działa w fundacji Centrum Architektury.

(AS)

ARCHITEKTURA W WOZOWNI
Grzegorz Piątek, Le Corbusier wszechobecny i nieobecny, (wykład)
15 kwietnia 2013, godz. 17.00

DWÓR ARTUSA
16.04

UCZTA MUZYCZNA

Znana i ceniona toruńska kompozytorka Magdalena Cynk będzie wkrótce świętować 25-lecie twórczości. Z tej okazji będziemy mieli przyjemność wysłuchać utworów jubilatki, poczynając od tych najstarszych, aż do prawykonań tych najnowszych. Wykonawcami będą przyjaciele – soliści i wokaliści oraz Gdańska Orkiestra Studencka. W programie m.in. *Mozaika* (1987), *Wariacje na wiolonczelę i fortepian* (1988), *Trzy utwory na dwa fortepiany* (2011) oraz *Kujawiak* (2013) wykonywany przez Gdańską Orkiestrę Studencką pod batutą Rafała Kłoczko. Magdalena Cynk jest absolwentką toruńskiej Szkoły Muzycznej I i II stopnia wydziału rytmiki i fortepianu. Obecnie prowadzi zajęcia teoretyczne oraz propedeutykę kompozycji w Zespole Szkół Muzycznych w Toruniu. Współpracowała z Teatrem im. Wilama Horzycy w Toruniu oraz z Teatrem Polskim w Bydgoszczy, gdzie napisała muzykę do trzech przedstawień teatralnych. Zajmowała się też krytyką i publicystyką muzyczną. Za tę działalność otrzymała Nagrodę Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki w 2002 roku.

(AL)

Jubileuszowy koncert Magdaleny Cynk
16 kwietnia 2013, godz. 18.00
Dwór Artusa Sala Wielka

LIZARD KING
17.04

W STRONĘ WSCHODU

Toruń jest jednym z przystanków „Armii w drodze na Wschód". Na koncercie w „Lizard Kingu" zespół przedstawi materiał z ich najnowszej płyty, zawierającej wybrane kompozycje zespołu, często w nowych odsłonach, niektóre w aranżacjach akustycznych, od *Aguirre* z pierwszej płyty, przez *Popioły i Dom* przy moście po *Green* z albumu *Freak*.

Historia z *Podróżą na Wschód* rozpoczęła się już w 2011 roku, gdy na rynku ukazała się autobiografia Tomasza Budzyńskiego *Soul Side Story*, do której dołączono film, *Podróż na wschód*. W obrazie wykorzystano zagrane na wielkopolskich stacjach kolejowych przearanżowane wersje najważniejszych piosenek Armii. Rok później formacja zdecydowała się na wydanie tego oryginalnego soundtracku w formie osobnego albumu.

Armia, obecna na polskim rynku muzycznym od prawie 30 lat, tworzy awangardową muzykę, stanowiącą połączenie rocka, folku i jazzu. Połączenie poetyckich tekstów z szerokim instrumentarium i nieskrępowaną ramami stylistycznymi ekspresyjną muzyką sprawiło, że ARMIA stała się oryginalnym i niemożliwym do zaszufladkowania zespołem. 10 albumów studyjnych zespołu zdobyło uznanie wśród słuchaczy i recenzentów, a niektóre z nich, jak *Legenda* czy *Triodante*, zaliczane są dziś do klasyki polskiej muzyki rockowej. Grupa znana jest z koncertów o niepowtarzalnej atmosferze, czego zapisem jest 5 wydawnictw live.

(AL)

Armia, Podróż na Wschód
17 kwietnia 2013, godz. 19.00
Lizard King

MUZEUM OKRĘGOWE, RATUSZ STAROMIEJSKI
18.04 - 29.09

NUMIZMATYCZNE REMINISCENCJE

Muzeum Okręgowe w Toruniu od 18 kwietnia zaprasza wszystkich miłośników medali i monet na wystawę *Numizmatyczne reminiscencje w medalierstwie polskim*. Prawie 200 lat temu Stanisław Kostka Potocki w swojej rozprawie o medalach pt. *Wstęp, czyli rozprawa o medalach mianowicie narodowych w względzie ich użyteczności i sztuki...* pisał: „Dzisiejsze [medale] zupełnie odosobnione od monety bieg mające, są pomnikami, sławie osób, czynów i zdarzeń publicznych lub prywatnych jedynie poświęconemi". Numizmatyka z medalierstwem nigdy się jednak nie rozstała. To medalierzy byli i są projektantami monet, to także oni wiele swoich prac poświęcili wybitnym badaczom, zasłużonym kolekcjonerom i propagatorom tej specjalności historycznej. Także w wielu gabinetach numizmaty sąsiadują z medalami. Wystawa w toruńskim Ratuszu, ograniczona do zbiorów trzech muzeów: Okręgowych w Toruniu i Bydgoszczy oraz Narodowego w Poznaniu – rejestruje wycinek medalierstwa polskiego poświęconego tuzom numizmatyki, historii pieniądza polskiego oraz drobnym, tym niemniej ważnym wydarzeniom w skali regionalnej. Równie ciekawie zapowiada się cykl prac wybitnego medaliera, Witolda Korskiego z serii królewskiej, przedstawiające historię polskiej monety na tle wydarzeń związanych z panowaniem poszczególnych władców.

(AS)

Numizmatyczne reminiscencje w medalierstwie polskim
kurator Adam Musiałowski
Muzeum Okręgowe w Toruniu, Ratusz Staromiejski
18 kwietnia – 29 września 2013

GALERIA WOZOWNIA
19.04 - 2.05

Magdalena Moskwa

Nicu Ilfoveanu

MOSKWA I KSZTAŁT W WOZOWNI

Specjalnie na prezentację w Galerii Sztuki Wozownia Magdalena Moskwa przygotowuje wystawę *Cielesność obrazu*, która z założenia koncentruje się na najnowszych pracach artystki. Obrazy te, wykonywane - jak zwykle w przypadku twórczości Moskwy - niezwykle skrupulatnie na bazie dawnych, bardzo czasochłonnych technik malarskich, utożsamiają podobrazie z wyobrażeniem skóry, na której rysują się żyły, rany, „organiczne" otwory przechodzące na wskroś desek i intrygujące swoją „naturalnością". „Postaci ukazane na obrazach Moskwy są „zawieszone" w nieokreślonej przestrzeni – jakby unosiły się w powietrzu, leżały lub, wręcz przeciwnie, stały frontalnie *vis á vis* odbiorcy – przypominając funeralne wizerunki, pozostając na pograniczu życia i śmierci, jakiegoś omdlenia czy nieprzytomności" – pisze kuratorka wystawy Marta Smolińska. W Wozowni dodatkowym atutem wystawy będzie obecność blatu, przypominającego stół operacyjny przeznaczony do zabiegów chirurgicznych; dzięki niemu możliwy stanie się wgląd w sam warsztat artystki i tajemniczą alchemię procesu kreacji.

Grzegorz Łoźnikow

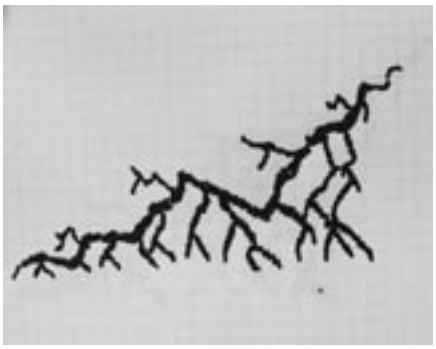

Kolejna wystawa w Wozowni to ekspozycja dzieł rumuńskiego twórcy Nicu Ilfoveanu przedstawiająca cykle czarno-białych fotografii oraz filmy wideo, które w dużej mierze zostały wykonane po lekturze książki Andrzeja Stasiuka „Jadąc do Babadag". Stasiuk poszukuje tożsamości tego regionu Europy nie w aspektach nowoczesnych czy integracji z UE, a raczej koncentruje się na świecie zanikającym: życiu jakby na marginesie Europy, gdzieś poza rozpędzoną cywilizacją. Właśnie tego rodzaju postrzeganie Rumunii inspiruje Ilfoveanu do podróżowania po swej ojczyźnie i „dokumentowania" jej zacierającej się dawnej tożsamości.

Trzecia wystawa w kwietniowej Wozowni (z cyklu *Laboratorium Sztuki 2013. Nie(po)rozumienie*) zaprezentuje pracę Grzegorza Łoznikowa dotykającą kwestii interpretacyjnej wieloznaczności. Artysta wykona przewrotny eksperyment – rzeźbę, która zawiera w sobie cechy różnych zjawisk: piorunu, drzewa, żyły, krzewu, pęknięcia w ścianie... Jak sam pisze, chciałby zwrócić uwagę na brak treści i znaczeń w przyrodzie, które dopiero z perspektywy ludzkiej wymagają określania systemem znaczeń i symboli.

(AS)

Magdalena Moskwa, *Cielesność obrazu*
Nicu Ilfoveanu, *Teraźniejszość jako pomyłka*
kuratorka: Marta Smolińska
19 kwietnia – 2 czerwca 2013
Grzegorz Łoznikow, *Kształt*
19 kwietnia – 2 maja 2013
kuratorka: Maria Niemyjska

FILHARMONIA POMORSKA
19.04

BOHATEROM GETTA

Rocznica bardzo ważna, a obchodzona w Polsce zawsze w sposób niepełny, jakby był to jedynie fragment obcej historii na naszej ziemi... A tak przecież nie jest – to też jest nasza historia... Nie będę w krótkiej zapowiedzi przedstawiał argumentacji, jestem jednak przekonany, że większość osób, które postanowią wybrać się filharmonii bydgoskiej na koncert, poczuje tę więź, słuchając muzyki. Propozycja muzyczna ciekawa: wystąpią m.in. Chór Singakademie z Frankfurtu nad Odrą pod kier. Rudolfa Tierscha i Baruh Finkelshtein, baryton i główny kantor synagog w Moskwie i Petersburgu; w programie koncertu, prócz kadyszu za poległych, *„Schelomo" na wiolonczelę i orkiestrę* Ernesta Blocha, *Koncert warszawski* Richarda Addinsella i *Ocalały z Warszawy* na głos mówiony, chór męski i orkiestrę Arnolda Schönberga. Wydarzeniu patronuje warszawski Żydowski InstytutHistoryczny.

(MR)

Koncert w 70. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim
Filharmonia Pomorska
19 kwietnia 2013, godz. 19:00

AKADEMICKA PRZESTRZEŃ KULTURALNA WSG 19.04 - 20.04

PODRÓŻNICY ZJADĄ DO BYDGOSZCZY!

W przedostatni weekend kwietnia Akademicka Przestrzeń Kulturalna zaprasza na 3. Bydgoski Festiwal „Podróżnicy". Podczas wydarzenia publiczność będzie miała znakomitą okazję do spotkań i rozmów z podróżnikami, które wzbogacone będą pokazami zdjęć i filmów. Na festiwalowiczów czekają również: wystawy fotografii, kuchnie świata i stoiska wydawnictw podróżniczych. Piotr Kuryło, który samotnie obiegł świat i przepłynął Wisłę pod prąd, zabierze chętnych na spływ kajakowy. W sobotę Kapituła Festiwalu „Podróżnicy", z Elżbietą Dzikowską na czele, przyzna statuetki im. Tony'ego Halika za podróżnicze osiągnięcia. Więcej szczegółów oraz program znajdziecie na stronie: www.podroznicy.byd.pl.

(LENA)

3. Bydgoski Festiwal „Podróżnicy"
19–20 kwietnia 2013
Akademicka Przestrzeń Kulturalna WSG, Bydgoszcz

UMK 19.04 - 23.04

TORUŃSKI FESTIWAL NAUKI I SZTUKI

13 edycja Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki, który corocznie przyciąga 30 tysięcy widzów, poświęcona będzie historii nauki. Organizatorzy (UMK, Towarzystwo Naukowe w Toruniu i Urząd Miasta Torunia) wśród pokazów, warsztatów, wycieczek i wydarzeń kulturalnych, proponują m.in. nowy cykl wykładów związanych z tematem przewodnim, przedstawiających w miarę przystępny sposób dokonania wszystkich laureatów ostatniej edycji Nagrody Nobla oraz jej polskiego odpowiednika – Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. W związku z rocznicami kopernikańskim nie zapomniano także o zaprezentowaniu dokonań najwybitniejszego torunianina: Festiwal otworzy wykład prof. Jarosława Włodarczyka, astronoma z PAN, który przedstawi historię przewrotu kopernikańskiego i pokaże, jaki wpływ to odkrycie miało na późniejsze losy nauki. Z kolei prof. Krzysztof Mikulski dokładnie zlustruje familię Koperników. Ciekawie zapowiadają się również propozycje partnerów Festiwalu. Inżynierowie spółki „Apator" przygotują model telegrafu elektro-chemicznego, wzorowany na telegrafie stworzonym przez urodzonego w Toruniu Samuela Thomasa von Sömmeringa; a Centrum Nowoczesności „Młyn Wiedzy" pokaże na Zamku Krzyżackim swoje drugie science show.

I tak od nauki bardzo blisko do sztuki. Po raz kolejny publiczności TFNiS, i to aż w dwóch odsłonach, zaprezentuje się Teatr Perpetuum Mobile. Artyści na Zamku Dybowskim pokażą *Antygonę* oraz tradycyjnie jedną z komedii antycznych. Z kolei inni stali goście Festiwalu – studenci Akademii Muzycznej w Bydgoszczy pokażą swój spektakl dyplomowy, operetkę *Student-żebrak*. Najbardziej oryginalnym połączeniem obu elementów nazwy festiwalu będzie impreza główna, mówiąca o zależnościach między ekonomią a sztuką z udziałem jazzmana Bogdana Hołowni, prezesa spółki „Apator", Janusza Niedźwiedzkiego i ekonomistów z UMK.

Słowem: będzie się działo! W ciągu czterech dni zaprezentowane zostaną osiągnięcia kilkudziesięciu dziedzin nauki i sztuki. Wszyscy zainteresowani mieszkańcy miasta i regionu od kuchni poznają miejsca na co dzień niedostępne: naukowe laboratoria oraz warsztaty pracy uczonych i artystów, a także przedstawicieli różnych firm oraz instytucji. Wstęp na wszystkie imprezy jest wolny, ale wejściówki rozchodzą się błyskawicznie! Szczegóły na stronie: www.festiwal.torun.pl/

(AS)

13. Toruński Festiwal Nauki i Sztuki
19 – 23 kwietnia 2013
Toruń i okolice

MÓZG
20.04

JAZZ NAD BRDĄ

Cytowany również przez organizatorów koncertu Ian Mann (www.thejazzmann.com) pisze: „kompozycje Ingvaldsena są nowatorskie i pełne wyobraźni. Unikają banału i choć muzyka zespołu może się wydać wymagająca, z pewnością warto jej posłuchać.” Płodny jazz skandynawski dociera w kwietniu do Mózgu w osobach muzyków Pocket Corner. Stworzony przez norweskiego trębacza Didrika Ingvaldsena zespół zaczynał grać już w latach osiemdziesiątych, ale nie stał się skamieliną, lecz nieustannie ewoluował. Efektów ewolucji można posłuchać pod adresem http://www.myspace.com/pocketcorner albo ul. Gdańska 10, 85-006 Bydgoszcz.

(MR)

Pocket Corner (Norwegia)
Mózg
20 kwietnia 2013, godz. 21.30

TEATR POLSKI BYDGOSZCZ
23.04

PODRÓŻ ZIMOWA

Od 2007 roku trwa w Teatrze Polskim w Bydgoszczy program „Dom Jelinek”, promujący twórczość austriackiej noblistki spektaklami i konferencjami naukowymi. Jego najnowsza odsłona to premiera spektaklu *Podróż zimowa* w reżyserii jednego z najważniejszych nazwisk polskiego teatru – Mai Kleczewskiej. *Podróż zimowa* to jeden z najbardziej osobistych tekstów Jelinek, w którym rozlicza się z własnym dorastaniem i rodziną. Widzów czeka drastyczna podróż w głąb psychiki, która, jak to zwykle bywa przy zestawieniu Kleczewska/Jelinek, mało kogo pozostawi obojętnym. Spektakl powstaje w koprodukcji z Teatrem Powszechnym w Łodzi (premiera łódzka odbyła się 23 marca w ramach Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych). W spektaklu występują: Jakub Firewicz, Beata Ziejka, Karolina Adamczyk, Małgorzata Witkowska, Julia Wyszyńska, Michał Czachor, Michał Jarmicki, Mateusz Łasowski i Piotr Stramowski.

(PS)

Elfriede Jelinek, *Podróż zimowa*
reż. Maja Kleczewska
Teatr Polski Bydgoszcz
premiera 23 kwietnia 2013

DWÓR ARTUSA
24.04

1001 OBRAZÓW SYBERII

Syberia – kraina, o której gros Polaków wie niewiele więcej niż to, że jest tam bardzo zimno. Ekstremalne temperatury nie zachęcają do podróży, chyba że jest się Romualdem Koperskim. Ten podróżnik, pisarz, dziennikarz, fotograf, pilot samolotowy, myśliwy, nurek i zawodowy pianista - zapewne można by jeszcze długo wyliczać specjalności tego człowieka renesansu – zna Syberię jak własną kieszeń. O swoich pasjach opowie na spotkaniu w ramach cyklu *Świat i okolice*. Spotkanie zostanie urozmaicone mini koncertem fortepianowym. Warto wspomnieć, że Romuald Koperski jest rekordzistą Guinessa za najdłuższy koncert fortepianowy, trwający ponad 103 godziny.

(AL)

Świat i okolice, Z Koperskim przez Syberię
24 kwietnia 2013, godz. 19.00
Dwór Artusa, Sala Wielka

CZYTELNIA CSW TORUŃ
25.04

KOMIKS. JAK CZYTAĆ I CO CZYTAĆ?

Czytelnia CSW i redakcja „Menażerii" zaprasza na spotkanie z Jackiem Seweryn Podgórskim pt. *Komiks. Jak czytać i co czytać?* Spotkanie odbędzie się 25 kwietnia w Czytelni o godzinie 18.00. Celem spotkania jest przybliżenie idei i kultury komiksu – jego ewolucji dziejowej i możliwych form, aspektów kolekcjonerskich. Prezentowany temat ma nie tylko wskazać aspekty historyczne, ale przede wszystkim pokazać potencjalnemu czytelnikowi, w jaki sposób odczytywać „rysunki z dymkami". Podczas prezentacji omówione zostaną jedne z najbardziej znanych dzieł tej formy artystycznej.

(JP)

Jacek Seweryn Podgórski, *Komiks*
25 kwietnia 2013, godz. 18.00
Czytelnia CSW

MUZEUM OKRĘGOWE, RATUSZ STAROMIEJSKI
26.04 - 9.06

KOLEKCJA PAKOSKA. SZTUKA POLSKA

Po raz ostatni *Kolekcja Pakoska* była eksponowana w Muzeum Okręgowym przed trzynastu laty i od tego czasu mocno zmieniła swój charakter: od dzieł artystów związanych z krakowskim Towarzystwem Artystów Polskich „Sztuka", w kierunku reprezentacji najistotniejszych zagadnień polskiej sztuki współczesnej. Obecnie kolekcja składa się ze 130 dzieł wybitnych artystów polskich, m.in. Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego, Leona Wyczółkowskiego, Jana Stanisławskiego, Olgi Boznańskiej, Juliana Fałata, Bolesława Biegasa, Xawerego Dunikowskiego oraz Jana Cybisa, Artura Nachta-Samborskiego i Andrzeja Wróblewskiego.

„Tworzona od wielu lat w regionie kolekcja prywatna zawiera dzieła artystów polskich, których twórczość bardzo dobitnie odzwierciedla złożoną sytuację społeczeństwa polskiego w końcu XX i na początku XXI wieku. Szczególnie istotne są dzieła sztuki z 2. połowy wieku XX, które prezentują nurt koloryzmu (m.in. prace J. Cybisa, P. Potworowskiego, A. Nachta-Samborskiego), socrealizmu (Helena i Juliusz Krajewscy), sztuki zaangażowanej (prace Andrzeja Wróblewskiego), artystów Grupy Krakowskiej (m.in. prace Marii Jaremy, Kazimierza Mikulskiego, Jerzego Nowosielskiego), grupy Wprost (prace Leszka Sobockiego), abstrakcji geometrycznej (m.in. prace Henryka Stażewskiego, Stefana Gierowskiego, Wojciecha Fangora), wizualizmu (m.in. prace Jana Berdyszaka), minimalizmu (praca Aleksandry Jachtomy), nowej figuracji (m.in. praca Janusza Przybylskiego), hiperrealizmu (praca Andrzeja Sadowskiego) oraz nowej ekspresji lat 80. (prace Włodzimierza Pawlaka, Jarosława Modzelewskiego). Na szczególną uwagę zasługują obrazy z końca XX i początku XXI wieku, takich autorów, jak: Beata Ewa Białecka, Leon Tarasewicz, Rafał Bujnowski, Tomasz Tatarczyk i Włodzimierz Jan Zakrzewski. Wymienione malarstwo jest uzupełnione zbiorem rzeźby – m.in. Konstantego Laszczki, Xawerego Dunikowskiego, Katarzyny Kobro, Aliny Szapocznikow" – pisze kurator wystawy Anna Kroplewska-Gajewska.

(AS)

Kolekcja Pakoska. Sztuka Polska
kurator Anna Kroplewska-Gajewska
Muzeum Okręgowe w Toruniu, Ratusz Staromiejski
26 kwietnia – 9 czerwca 2013

DWÓR ARTUSA
20.04

KOMIKS MUZYCZNY I INNE CUDA

Nowatorski projekt multimedialny *Kosmostumostów* Łukasza L.U.C`a Rostkowskiego łączy w sobie muzykę rozrywkową, intrygujące teksty z efektownymi, metaforycznymi doznaniami wizualnymi. Show wystawiany w składzie instrumentalnym (BOND - BAS, MICHAŁ LASOTA - PERKUSJA, NATIVIZM - ELEKTRONIKA, SAMPLE), prezentuje materiał graficzny, który jest efektem wizjonerskiego jak na polskie warunki przedsięwzięcia. Przez ponad pół roku L.U.C, jako producent i reżyser realizował z młodymi rysownikami komiks na podstawie przypowieści, którą napisał. Efektem jest wysokiej jakości materiał graficzny, który wprowadzony później przez animatorów w ruch stanowi pierwszy polski komiks muzyczny. Ponad 120 zanimowanych ilustracji wypełnia koncert tworząc spójną fabularną przypowieść z puentą.

(AL)

L.U.C., *Kosmostumostów*, muzyczne widowisko multimedialne
27 kwietnia 2013, godz. 20.00
Dwór Artusa, Sala Wielka

OPERA NOVA
27.04 - 12.05

OPERACJA OPERA

Tym razem organizowany od 1994 roku festiwal operowy otworzy premiera miejscowego, bo bydgoskiego, wykonania *Halki*, a zamknie układ spektakli baletowych Danza Contemporanea de Cuba. Między tymi wydarzeniami reszta odsłon festiwalu, zarówno polskich jak i zagranicznych: *Don Giovanni* Mozarta Łotewskiej Opery Narodowej w Rydze, *Ariadna na Naxos* Richarda Straussa Opery Krakowskiej, zarzuela *Los Elementos* Le Tendre Amour z Katalonii, musical *Lalka* Piotra Dziubka, Wojciecha Kościelniaka i Rafała Dziwisza w wykonaniu gdyńskiego Teatru Muzycznego oraz *Chowańszczyzna* Musorgskiego z Narodowego Akademickiego Teatru Wielkiego Opery i Baletu Republiki Białorusi. Festiwalowi będą towarzyszyły: polska prapremiera *Rademesa* Petera Eötvösa i premiera światowa Poiesis Przemysława Zycha. Prócz tego projekcje spektakli w technice DVD ze specjalną prelekcją Sławomira Pietrasa i Operowe Forum Młodych, a w dniach 9-11 maja w Centrum Kongresowym Opery Nova odbędzie się Forum Krytki Operowej z udziałem znawców.

(MR)

XX Bydgoski Festiwal Operowy
27 kwietnia - 12 maja 2013
Opera Nova

AUDIOWIZJE
11.04 - 14.04

AUDIOWIZJE RUSZAJĄ PO RAZ DRUGI

Ciekawą propozycją na kwiecień jest druga już edycja Audiowizje Festiwal, odbywająca się w dniach 11-14 kwietnia. Projekt, stworzony przez Patryka Lewandowskiego, to połączenie dźwięku i obrazu oraz próba pokazania ich nierozerwalnego związku. Również w tym roku festiwal nie posiada jednego, stałego miejsca. Poszczególne audiowizyjne wydarzenia rozsiane będą po całym Toruniu, od Centrum Sztuki Współczesnej i Planetarium po toruńskie kluby (Carpe Diem, Dwa Światy, Kawalerka, Cafe Draże, NRD, Od Nowa, Hipisowka, Koniec Świata). W audiowizyjny repertuar wpisane są koncerty, spotkania, panele dyskusyjne, projekcje, wystawy i warsztaty. Program został opracowany tak, by każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Uczestnicy festiwalu będą mogli aktywnie brać udział w przygotowanych sekcjach - muzyki do gier, dizajnu w muzyce, teledysku. Na panelach dyskusyjnych poruszone zostaną zagadnienia m.in. z zakresu kultury audiowizualnej, audioantropologii, nowych mediów, percepcji obrazu, czy synestezji. Nie zabraknie także pokazów filmowych, video artu i turniejów gier. Na festiwalu pojawi się wielu naukowców, artystów i gości, wśród nich: kompozytorzy - Adam Skorupa, Marcin Przybyłowicz, Arkadiusz Reikowski, Piotr Musiał, Krzysztof Wierzynkiewicz; twórcy teledysków - Jacek Kościuszko, Krzysztof Skonieczny. Tak jak w zeszłym roku, organizator imprezy przygotował dla uczestników specjalne opaski, dzięki którym otrzymają oni specjalne zniżki w miejscach partnerskich Festiwalu. Tak więc, Drogi Czytelniku, zajrzyj też na Audiowizje, zobacz dźwięk i usłysz obraz!

Szczegóły, program festiwalu i spis miejsc partnerskich: https://www.facebook.com/Audiowizje

(MD)

Audiowizje Festiwal
11-14 kwietnia 2013
Toruń

TANTRA
18.04 - 25.04

tantra
klub

TANTRA: X-NAVI:ET I ODCZYT DŹWIĘKU

Kolejna Muzykofilia w Tantrze; w ramach cyklu wystąpi znany toruński muzyk Rafał Iwański. Ten artysta dźwięku, perkusjonista i etnolog współtworzy zespół HATI grający muzykę akustyczną na instrumentach etnicznych i recyklingowych. W Tantrze Rafał Iwański wystąpi jako X-NAVI:ET z repertuarem elektroakustycznym. Wciąż poszukujący, współpracujący z licznymi przedstawicielami różnych dziedzin sztuki, występujący w wielu miejscach naszego kontynentu i za oceanem. Warto przyjrzeć się jego wędrówce, przynajmniej temu jednemu fragmentowi. Tym bardziej, że wstęp wolny.

http://www.soundcloud.com/xnaviet
http://www.myspace.com/xnaviet

menażeria
patronat medialny

TANTRA
18.04 - 25.04

Nie tylko bezpłatny wstęp, ale i obecność wybitnych poetów, Konrada Góry i Roberta Rybickiego, powinna zachęcić Czytelnika do przybycia 25 kwietnia o 20.00 na Odczyt Dźwięku, który tradycyjne będzie eksperymentalnym zderzeniem słowa czytanego z muzyką: Górze i Rybickiemu będą towarzyszyli muzycy toruńskiej Grupy Przestępczej „Jesień". Comiesięczne Odczyty Dźwięku organizuje wydawca „Menażerii", Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Megafon", zatem polecamy to niezwykłe wydarzenie szczególnie gorąco i zapraszamy do Tantry! (Konrada Górę i Roberta Rybickiego będzie można też zobaczyć i posłuchać na spotkaniu autorskim w Czytelni CSW!)

(MR)

X-NAVI:ET - koncert muzyki elektroakustycznej w ramach cyklu Muzykofilia
18 kwietnia 2013, godz. 20:.00
Odczyt Dźwięku - Robert Rybicki+Konrad Góra-+Grupa Przestępcza „Jesień"
25 kwietnia 2013, godz. 20.00
Klub Tantra

menażeria
patronat medialny

CAFE DRAŻE
11.04 - 24.04

W KWIETNIU WIOSNA PRZYBYWA DO DRAŻY

Drażowa ekipa podgrzewa atmosferę – wdraża, udrażnia i drażni. Na dobry początek **11 kwietnia** startuje nowy cykl spotkań poświęconych lesbijskiej literaturze: **L.A.S.K.I.** W sobotę, **13 kwietnia, wszyscy rowerowi maniacy** obowiązkowo stawiają się o godz. 16 przed Cafe Draże i biorą na warsztat swoje jednoślady. Wystarczy przyprowadzić swój rower, przygotować 5 zł na smar i środki czyszczące i zarezerwować sobie trochę wolnego czasu. Draże zapraszają na warsztaty, na których nauczą, jak zrobić podstawowy przegląd swoich dwóch kółek i wyczyścić je tak, żeby się przy tym za bardzo nie namęczyć. Wszystko to w przyjaznej atmosferze i pod czujnym okiem fachowców z warszawskiej Rowerowni Syrena. Kiedy rower będzie już gotowy, warto przyjechać na nim do Drazy **18 kwietnia** o godzinie 20:00. Tym razem ugości nas **zespół GÓWNO**, który toruńska publiczność miała okazję już poznać. Muzyka GÓWNA określana jest jako RODEO PUNK, a zespół przypisuje sobie rolę pioniera tego gatunku. Szukając odniesień w innych, bardziej popularnych nurtach muzycznych, twórczość tą można określić jako fuzję country, punk'a, black metal'u i noise'u. GÓWNO ma na swoim koncie muzyczne sukcesy - było nominowane do przeróżnych nagród, m. in. „Nocnych Marków" Aktivista, „Sztormów Roku" Gazety Wyborczej Trójmiasto oraz zostało zgłoszone do „Paszportów Polityki". Jak twierdzą sami muzycy, „GÓWNO ciągle się rozwija i zawsze wypłynie na wierzch!". Kiedy odpoczniecie już po czwartkowym koncercie, Draże zapraszają na wyjątkowe **Targi ubrań i przedmiotów alternatywnych**, które odbędą się **20 kwietnia** o 15:00. Targi są alternatywą dla ludzi, którzy lubią się wyróżniać. Na targi można przyjść w roli sprzedawcy (wymieniamy się przedmiotami lub sprzedajemy), albo jedynie jako klient. Sprzedawać można rzeczy, które są niespotykane, oryginalne, wszelkiego rodzaju biżuterię, dodatki i wszystkie inne cuda hand made Na koniec miesiąca Draże zapraszają na pokaz filmu ***Eksmisja. Resettlement .Sztuka właściwego wyboru***. (reż. Filip Antoni Malinowski), który odbędzie się **24 kwietnia** o godzinie 18:00

Film opowiada o niebywałej polskiej parze seniorów, która po przeżyciu 66 lat w jednym mieszkaniu musi się wyprowadzić. Z jednej strony jest Maria, osoba o nieskończenie młodym i optymistycznym duchu – z drugiej strony Tadeusz, który jest cichym naukowcem i fatalistą. Nagle oboje muszą walczyć z osobistą katastrofą, która ujawnia dotyczące ich przeżycia z przeszłości ciążące nad ich decyzjami. Jest to film o sprawiedliwości i równości – o kryzysie moralności w przeszłym i teraźniejszym społeczeństwie – i o tym, jak się starzeć zostając młodym. „MENAŻERIA" będzie na pewno. Bądźcie i Wy!

(MD)

KAROLINA NATALIA BEDNAREK

z wykształcenia filmoznawczyni, z zawodu specjalistka ds. kreowania wizerunku firmy, z pasji kobieta. Wieloletnia recenzentka dla portalu „Kulturalny Toruń". Od czterech lat dyrektor filmowego festiwalu „Przejrzeć..."

ADAM BLICHARSKI

Urodził się w Jędrzejowie. Czas wolny spędza przy dobrej książce lub w sali kinowej, racząc się kinem komercyjnym jak i tym niezależnym. Pasjonuje się komiksem – głównie DC Comics. Czasami lubi potańczyć.

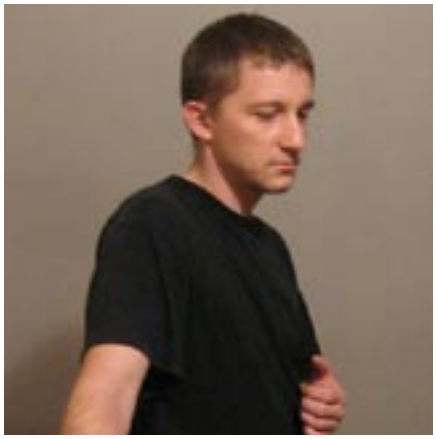

KONRAD BURZYŃSKI

meloman i miłośnik kina, wrocławianin, rocznik 1980.

MAŁGORZATA DRĄŻEK

Studentka kulturoznawstwa, bawiąca się ostatnio w improwizację. Cierpi na ciągły brak czasu i snu. Czasami coś napisze, czasami coś sfotografuje, czasami coś obejrzy. Od lat romansuje po cichu z Julio Cortazarem i Edgarem Allanem Poe. Kolekcjonuje zdjęcia krajów, w których jest zimno i słowa, które sama wymyśla. Niereformowalna pod względem zaczynania zdań z małej litery.

HANNA GREWLING

urodziła się w 1979 roku et ceatera...

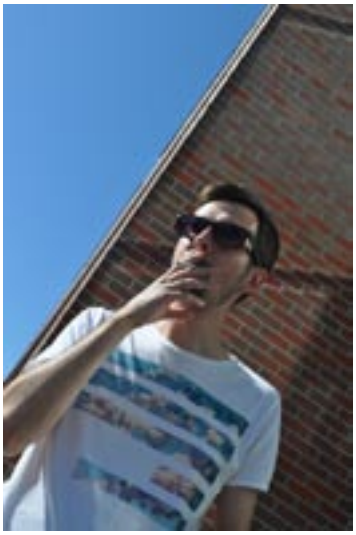

SZYMON GUMIENIK

redaguje od 8.00 do 16.00, po godzinach czyta, słucha i ogląda, czasem coś napisze.

GOSIA HERBA

(rocznik`85)
historyk sztuki, rysownik
mieszka i tworzy we Wrocławiu
miłośniczka formatu GIF
www.gosiaherba.pl

KRZYSZTOF JOCZYN

rocznik 1985

ANDRZEJ KILANOWSKI

rocznik '81. Grafik, ilustrator, absolwent filozofii UMK. Twórca internetowego komiksu o smutnym nosorożcu - www.alenosorozec.pl. Sporadycznie scenarzysta.

AGATA KRÓLAK

(ur.1987) Jako ilustrator i grafik publikuje książki ("Ciasta, ciastka i takie tam", "Różnimisie", "Straszko"), ilustruje magazyny, projektuje dla firm i organizacji kulturalnych. Ukończyła ASP w Gdańsku. Pracowała w Warszawie i Nowym Jorku. W 2012 jej plakat był uczestnikiem 23-ego biennale plakatu w Wilanowie.

ADAM KRUPA

Wyrok zapadł. Winien czytania setek i tysięcy komiksów. Książki czasem leżą przez to odłogiem, ale na szczęście nigdy nie pozwoli im pokryć się kurzem. Zawodowo i nie tylko woli kontemplować i badać naturę form polodowcowych oraz wędrować po górach, lasach i innych pustkowiach. Z lasu powstałeś i do lasu powrócisz, jak myśli o sobie czasem. Najchętniej uciekłby od miejskiego zgiełku raz na zawsze i nadal uważa, że mu się to kiedyś uda. Z plecakiem pełnym komiksów i puszką mielonki, co oznacza raczej rychły powrót do cywilizacji po świeże zapasy.

MACIEJ KRZYŻYŃSKI

Rocznik 1987, przyrodnik lubiący litery, kolory i kształty.
http://mcross.carbonmade.com/

ANNA LADORUCKA

Pamięta jak przez mgłę, że kiedyś skończyła biologię, po czym utknęła na dobre za biurkiem, gdzie swe rozliczne talenty składa na ołtarzu komercji. Równie wysoko ceni sobie samotność, jak i towarzystwo przyjaciół. Do szczęścia potrzebna jej kawa, książka i święty spokój.

ANDRZEJ PIOTR LESIAKOWSKI

WIKTOR ŁOBAŻEWICZ

Z wykształcenia filozof-kognitywista, z zamiłowania... zamiłowań... zbyt długo by o tym pisać.

OJCIEC RENE (A WŁAŚCIWIE WACŁAW KRZYWY)

Twórca niebanalnych a przede wszystkim niezależnych komiksów, rysownik, scenarzysta i poeta. Związany z zinami Nansze, Hardkorporacja, GTP, Biceps oraz 1Zine. Komiksy Ojca można również podziwiać w szczecińskim magazynie kulturalno-informacyjnym SIC!.Co jakiś czas wydaje zinowe albumy komiksowe, całkiem sporo publikuje w necie (ojciecrene.digart.pl; ojciecrene.blog.onet.pl).

JACEK SEWERYN PODGÓRSKI

Podobno urodził się gdzieś w ciemnym borze. Ciągle się edukuje i pisze. Zapalony kolekcjoner komiksów Corbena i Moebiusa. Koneser włoskiego Giallo. Lubi spieszyć się i spóźniać.

MAREK ROZPŁOCH

ur. 1980, dziennikarz, filozof, obywatel Unii Europejskiej.

PAWEŁ SCHREIBER

wykłada w Katedrze Filologii Angielskiej UKW w Bydgoszczy, recenzuje przedstawienia teatralne w „Didaskaliach", „Teatrze" i „Chimerze", a kiedy tylko chce od tego wszystkiego odpocząć - gra na komputerze, co potem skrzętnie opisuje na blogu jawnesny.pl.

SZYMON SZWARC

ur. 1986 r., poeta, muzykant, polonista, stypendysta. Teksty publikował m.in. w „Ricie Baum", „Kresach", „Portrecie", „Tyglu Kultury", „Blizie", „Helikopterze", „Instynkcie" i w „Dwutygodniku". Wydał tom wierszy Kot w tympanonie (Biblioteka „Rity Baum", Wrocław 2012 r.). Gitarzysta Jesieni, z którą nagrał płytę *Jeleń*. Mieszka w Toruniu i za granicą.

MAGDA WICHROWSKA

filmoznawczyni, filozofka, felietonistka. Kocha Nowy Jork, wykłada w Bydgoszczy, mieszka w Toruniu. Żona Szymona, własność suczki rasy cavalier o imieniu Keaton.

IWONA STACHOWSKA

z wykształcenia filozof, z zawodu nauczyciel akademicki. Na co dzień wierna towarzyszka psa znanego ze skocznego podejścia do przestrzeni otwartych i zamkniętych. Wielbicielka dżdżystej aury, gorzkiej czekolady, kawy po turecku i czarnej porcelany.

DAWID ŚMIGIELSKI

Współtwórca filmu dokumentalnego *Zakazany owoc nr 6*. Urodził się w paskudnym szpitalu gdzieś w południowej Polsce. Uwielbia patrzeć na swoją półkę z komiksami. Czasem coś napisze.

KAROLINA WIŚNIEWSKA

Etatowa anglistka i dorywczy twórca czegokolwiek, zdany na łaskę ciągłych przypływów i odpływów weny. Zakochana w przedmiotach czerpie treść z ich formy, docenia mistrzów designu tak samo jak pospolite zrób-to-sam, które z uporem praktykuje na własnej przestrzeni. Całoroczna rowerzystka, podatna na huśtawki nastrojów, zawsze głodna nowej muzyki i Martini Bianco. Chorobliwie uzależniona od jazdy na rolkach, głaskania swoich kotów, letniego bujania w hamaku i słońca. Szczęśliwa, gdy nic nie musi.

ARAM STERN

Germanista z pasją teatralną. Zostawił kilka zdań o niej w „Musli Magazine", „Biuletynie ZASP", „Teatrze dla Was", „e-teatr.pl" i „Dzienniku Teatralnym". Nie potrafi powiedzieć, w jakim jest wieku; ten ciągle się zmienia.

MACIEK TACHER

muzyk.

WOJCIECH WŁOCH

filozof prawa, miłośnik jazzu w różnych odmianach, ojciec syna, mąż żony.

Biogramy autorów tekstów literackich i twórców prac prezentowanych w Tworach znalazły się w sąsiedztwie ich dzieł.

Dziękujemy wszystkim Współtwórcom numeru - zarówno Tym, których notki biograficzne tu widzimy, jak i Tym, którzy nie ośmielili się zamieścić informacji w tej tu rubryce, i Każdemu, kto w jakikolwiek sposób przyczynił się do powstania drugiego numeru „Menażerii"!

RYS. ANDRZEJ LESIAKOWSKI

odsłony

Menażeria

REDAKCJA
Jerzyk Adamiak, Karolina Natalia Bednarek, Konrad Burzyński, Małgorzata Burzyńska, Bartosz Dobrzelecki, Małgorzata Drążek, Hanna Grewling, Michał Groszewski, Szymon Gumienik, Gosia Herba, Beata Jurkiewicz, Andrzej Kilanowski, Agata Królak, Maciej Krzyżyński, Magdalena Kus, Anna Ladorucka, Andrzej Lesiakowski, Wiktor Łobażewicz, Marta Magryś, Józef Mamut, Andrzej Mikołajewski, Natalia Olszowa, Jacek Seweryn Podgórski, Marek Rozpłoch, Paweł Schreiber, Iwona Stachowska, Aram Stern, Szymon Szwarc, Dawid Śmigielski, Maciek Tacher, Magda Wichrowska, Monika Wieczorkowska, Grzegorz Wincenty-Cichy, Karolina Wiśniewska
Redaktor naczelny: Marek Rozpłoch, e-mail: mrozploch.menazeria@gmail.com
Zastępca redaktora naczelnego: Aram Stern, e-mail: stern.menazeria@gmail.com
Administrator bloga i strony na facebooku: Anna Ladorucka, e-mail: redakcja.menazeria@gmail.com
Szata graficzna i logo: Monika Wieczorkowska
Redaktorzy działu tekstów literackich: Hanna Grewling, Paweł Schreiber, Szymon Szwarc
Redaktor działu Twory: Gosia Herba
Redaktorzy działu Pod okładką: Jacek Seweryn Podgórski, Dawid Śmigielski, e-mail: podokladka.menazeria@gmail.com
Sekretarz redakcji: Jerzyk Adamiak
Korekta: Jerzyk Adamiak, Małgorzata Burzyńska, Łukasz Grajewski, Szymon Szwarc
Skład: Maciej Krzyżyński, Jacek Seweryn Podgórski, Marek Rozpłoch
E-mail: redakcja.menazeria@gmail.com

WYDAWCA: Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Megafon”, strona: https://www.facebook.com/ska.megafon e-mail: herbu_megafon@op.pl

"Zapieczętuj to, co powiedziało dwóch
siedem grzmotów, a nie spisuj tego."
Dan. 8,26; 12,4.9
(Objawienie św. Jana, 10)
REPUBLIKA
20-LECIE WYDANIA LP "Siódma Pieczęć"
KONCERT ZESPOŁU:
27.04.2013
GODZ. 19:00, BILETY: 25 zł
OD NOWA, TORUŃ
DBF 2013